

Nr 24

GERHARDT HAUPTMANN.

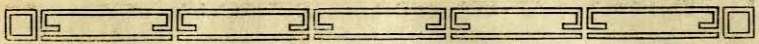
„A PIPPA TAŃCZY!“

Baśń hutty szklanej w 4 aktach.

Przełożył.

ARTUR SCHRÖDER.

Nakładem księgarni ==
Feliksa Westa w Brodach.



GERHARDT HAUPTMANN.

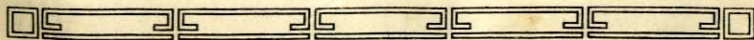


„A PIPPA TAŃCZY!“

Baśń hutę szklanej w 4 aktach.

Przełożył z upoważnienia autora
ARTUR SCHRÖDER.

(Wobec scen, jako manuskrypt).





Zbiory specjalne



~~63211~~

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0473144

Wydawnictwo i drukiem księgarń
- Feiksa Westa w Brodach. -

K-140/46/69562



OSOBY:

- **Tagliazoni**, włoski technik hutniczy
- **Pippa**, jego córka.
- **Dyrektor** huty szklanej.
- **Stary Huhn**, były wydymacz szkła.
- **Michał Hellriegel**, podróżujący czeladnik.
- **Wann**, postać mityczna.
- Wende**, gospodarz szynku w Rotwassergrund.
- Kelnerka** w tymże szynku.
- Schädler** { malarze szkła.
- Anton** {
- Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty** robotnik leśny
- Jonathan**, niemy służący u Wanna.
- Kilku** wydymaczy szkła i malarzy (goście Wendego).
- Wolowaty** grajek na okarynie.

Bajka rozgrywa się w śląskich górach, późną zimą.





AKT I.



AKT I.

Izba gościnna w szynku starego Wendego w Ratwassergrund. Na prawo i w głębi drzwi, te ostatnie wychodzące na dziedziniec. W kącie po prawej ręce piec kaflowy, po lewej lada szynkowna. Małe okienka, ławki przy ścianach, ciemny belkowy sufit. Trzy stoły zajęte po lewej stronie. Przy pierwszym stole koło szynkwasu siedzą *robotnicy lasowi*, piją wódkę i piwo, paląc fajki. Przy drugim stole, więcej ku przodowi, siedzą lepiej ubrani goście: malarze szkła *Schädler* i *Anton*, kilku innych i 50 letni prawie Włoch *Taghiazoni*, grubiańsko wyglądający. Grają w karty. — Przy najbliższym stole usiadł *Dyrektor huty*; wysoki 40 letni, z małą główką, smukły i jak się zdaje energiczny. Nosi sztylpy, rajtuzy i jokejską marynarkę. Pół flaszki szampana i delikatny, napełniony kieliszek przy nim; na stole rajtpajecz. — Kilka lamp mdło się świeci. Przez okna pada w zadymione wnętrze izby jasny blask księżyca. Stary gospodarz *Wende* i wiejska dziewczyna, kelnerka usługują.

WENDE (*siwowłosey, spokojny, poważny wyraz twarzy*):
Jeszcze pół, panie dyrektorze?

DYREKTOR. Cóż znowu Wende? — Cała! — A szkapę dobrze wytarta?

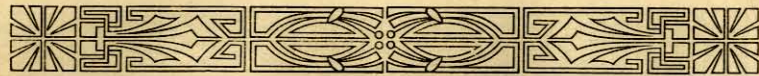
WENDE. Sam byłem przy tem. Takie zwierzę zasługuje na to! wyglądało jak siwosz, całe spienione.

DYREKTOR. Ostro jechałem!

WENDE. Rządowy koń.

DYREKTOR. Gorący! Wpadał czasem po brzuch do śniegu, a rwał naprzód!

WENDE (*z lekką ironią*). Niezlomny sztampgast z pana dyrektora.



DYREKTOR (*bębniąc palcami po stole, śmieje się wesoło*). Coś nadzwyczajnego, co? W styczniu dwugodzinna jazda przez las, stary nicponiu — to nie w kij dmuchał, co?! — Gotowe już moje pstrągi?

WENDE. Dobra rzecz wymaga dobrej chwili.

DYREKTOR. No, tak, tak, tak! Tylko proszę być przyjemnym! — Czy ja co winien temu, że w tej pół-niemieckiej, a pół-czeskiej, opuszczonej karczmie musisz siedzieć, Wende?

WENDE. To nie, panie dyrektorze! Najwyżej, jeśli się będę musiał wynieść!

DYREKTOR. Tylko nie chlap, stary tetryku!

WENDE. Niechno pan wyjrzy przez okno.

DYREKTOR. E, wiem już, stara zapadła, konkurencyjna huta W najbliższej przyszłości kupią ją na rumowisko. — Ty tylko nie potrzebujesz z tem ciągle wyjeżdzać. — Cóż się tu skarżyć? Źle to panu idzie! przychodzie tu co dwie, trzy godziny i kupami gromadzicie pieniądze.

WENDE. Jakże długo będzie jeszcze trwało to zamieszanie? Kiedy tu obok, huta dwoma kominami dymiała, to jeszcze był spokojny zarobek — teraz, zeszło się na psy.

DYREKTOR. Iii, krętaczu! patrzno lepiej, żebym wino dostał!

(Wende oddala się wzruszając ramionami. Przy karcianym stole gwar powstaje).

TAGLIAZONI (*gwaltownie*): No signore! no signore! impossibile! ja położyć pieniądz. No signore! Pan się myli! no, signore...



SCHÄDLER. Stój, to jest, psia krew przekłete kłamstwo!

TAGLIAZONI. No, signore! per Bacco, jeszcze raz! Ladri! Ladri! assassimi, ti ammazzo!

ANTON (*do Schädlera*). Ty, pożycz mi pieniędzy!

SCHÄDLER (*znajduje poszukiwaną monetę*). To było twoje szczęście, przekłety wszarzu!

DYREKTOR (*w stronę grających*). No, przestaniecie już raz kiedy, ścierwy!?

ANTON. Po odjeździe pana dyrektora.

DYREKTOR. To możecie gonić potem nago za moją szkapą. Do tego chyba czasu przegracie już koszule!

ANTON. Zobaczymy, panie dyrektorze!

DYREKTOR. To wszystko dlatego, że hrabia grzesznie dużo daje wam zarabiać pieniędzy. Będę ja wam musiał przy sposobności trochę z zarobku postrzącać. Im więcej macie, tem więcej przełajdaczyście!

ANTON. Zarabia hrabia i dyrektor pieniądze, to i malarzom nie spieszy się z głodu zdychać!

TAGLIAZONI (*zmieszał karty i zaczyna grę na nowo. Przy każdym z grających leżą prawdziwe kupki złota*). Basta! incominciamo odesso!

DYREKTOR. Dove è vostra filia oggi.

TAGLIAZONI. Dorne, signore! è ora mi pare.

DYREKTOR. Altro che!

(Mileczy lekko zakłopotany. Podczas tego stawia przed nim Wende pstrągi i dzwoni na kelnerkę, która wnosi równocześnie ziemniaki i flaszkę szampana)

DYREKTOR (*westchnąwszy*). Koniec końców nudno



tu u pana dzisiaj Wende, to czego by się chciało dostać, nie macie.

WENDE (*powściągnąwszy się w swoich zabiegach koło gościa, szorstko*). To proszę na przyszłość iść sobie gdzieindziej!

DYREKTOR (*obraca się poza siebie i patrzy przez okienko*). Któż to tam tak chrzuści po śniegu? — tak jakby się po szczybach ropotał!

WENDE. Szczyb jest chyba podostatkiem koło hutniczych buraków.

DYREKTOR. Olbrzymi cień! Kto to też może być?

WENDE (*chucha na szybę*). Najwyżej stary wydymacz szkła. Straszycie ze starej huty, co to ani żyć, ani umrzeć nie może! — A cóż, zrobił pan już koniec ze swoim Sofienau; dlaczego nie prowadzi je pan dalej, jako filii?

DYREKTOR. Bo to do niczego nie prowadzi, a dyablo kosztuje! — (*Ciągle patrząc przez okno*) Ośmnaście stopni! widno! jasno, jak w pogodny dzień! do szaleństwa już doprowadzić może to wyiskrzzone niebo! — niebiesko, wszystko niebieskie! (*obraca się; nad talerzem*). Nawet pstrągi! — Jak te szelmy mordy pootwierały.

(Wchodzi olbrzymi mężczyzna, długie, czerwone włosy, krzaczaste brwi, czerwona broda, od stóp do głów w łachmanach. Stawia na boku swoje drewniane chodaki, wytrzeszcza swoje wodniste, czerwono-oprawne oczy, przyczem zamyka i otwiera z mrukiem mokre, napęczniałe usta)

DYREKTOR (*jedząc widocznie bez apetytu pstrągi*). Stary Huhn! coś sobie mruczy? Staremu Huhnowi kieliszek mocnego groku, Wende — No, cóż to się tak we mnie wgapiliście?



(Stary Huhn mrużąc ciągle i wytrzeszczając na dyrektora oczy, wsunął się za stół, przy prawej ścianie, między piecem a drzwiami).

PIERWSZY ROBOTNIK. On nie chce tego skapować, że tu, w Rotwassergrund, niema roboty.

DRUGI ROBOTNIK. To znaczy, czasem przychodzi w nocy i tłucze się wewnątrz jak duch.

PIERWSZY ROBOTNIK. Wtedy zapala ogień w zimnym piecu hutniczym, staje przed starą dziurą piecową i wydyma olbrzymie kule szklane.

DRUGI ROBOTNIK. A wtenczas płuca jego są jak miech. Ja wiem! wtedy nie mógłby się z nim nikt zmierzyć.

TRZECI ROBOTNIK. A co robi stary Jakób, Huhn? — Aha: on teraz z ludźmi nie gada, bo w domu ma kawkę i z nią tylko cały dzień rozmawia.

DYREKTOR. A czemu się gałgan próżniaczy; czemu nie przylezie? mógłby przecież w Sofienau dostać robotę!

PIERWSZY ROBOTNIK. To mu za wielki świat.

DYREKTOR. Jeśli się na niego patrzy, ani się w Paryżu wierzyć nie chce.

WENDE (*zajmuje skromnie miejsce przy stole dyrektora*). Był pan znowu w Paryżu?

DYREKTOR. Trzy dni jak właśnie wróciłem. Olbrzymie zakupna zwiozłem!

WENDE. No, to się opłaci.

DYREKTOR. Opłaci się! Kosztuje, ale zawsze coś przyniesie; więcej nawet! — Można zwaryować Wende, jak się przyjedzie do tego Paryża: oświetlone restauracye! księżniczki w złocie, jedwabiach



i brukselskich koronkach! Niewiasty z Palais Royal! na stołach nasze szkło, nasz czysty kryształ: rzeczy, które ot taki może włochaty olbrzym robił! — Do pioruna, jak tam to wszystko wygląda! i kiedy delikatna, cudna rączka taki kwiat szklany, taki drogocenny, szklany kwiat, ponad białymi piersiami, do gorących, farbowanych ust przyciska, z pod żaru spojrzeń: — — Jezus, człowiek się dziwi, że nie roztopi się, pod tem grzesznem spojrzeniem kobiecem! — Zdrow! — (*Pije*) — Zdrow Wende! Nie do poznania, co się to stało z naszymi fabrykatami!

KELNERKA (*podając staremu Huhnowi grok*). Nie dotykać! gorące!

(Stary Huhn bierze szklanę i bez ceremonii ciska ją o ziemię).

DYREKTOR (*zauważywszy to*). Kroć sto tysięcy dyabłów!

(Robotnicy wybuchają śmiechem).

PIERWSZY ROBOTNIK. Niechno pan pół kwarty zapłaci; zobaczy pan jak będzie żarzące się węgle połykał.

DRUGI ROBOTNIK. Rozwali kufę piwa, a potem skorupy schrupie jak cukier.

TRZECI ROBOTNIK. No, warto, żeby go pan raz widział, jak tańczy z tą małą Włoszką, przy okarynie ślepego Franka.

DYREKTOR. Franek, okaryna! — (*zwraca się do Tagliazoniego*) Dieci lire, jeśli Pippa będzie tańczyła.

TAGLIAZONI (*zajęty grą*). Non va. Impossibile, Signor padrone.



DYREKTOR. Venti lire! — trenta...!?

TAGLIAZONI. No.

WENDE. W najgłębszym śnie właśnie leży, panie dyrektorze.

DYREKTOR (*w dalszym ciągu, kapryśnie*) Quaranta! — Zaprzestańcież na chwilę waszej dyabelskiej gry! Hycie! poco tu przyłazić? Nie można nawet widzieć jakiejś tam zbiegłej dziewczuchy cygańskiej! noga moja nie postanie już w tej szulerskiej jaskini! — (*Prosząc dalej*). — — Cinquanta.!

TAGLIAZONI (*grą zajęty bezmyślnie odpowiada przez ramię*). No, no! no! no! no!!

DYREKTOR. Cento lire!

TAGLIAZONI (*krótko*). Per cento, si!

(Obraca się i zrećnie chwyta w locie niebieski banknot, który mu dyrektor rzuca).

DYREKTOR (*trochę podniecony*). Moja Lwica dostała zreć?

KELNERKA. Tak jest, panie dyrektorze, pies już jadł.

DYREKTOR (*szorstko*). Nie bresz!

KELNERKA. No jeśli mi się pan pyta, to muszę przecież odpowiadać!

DYREKTOR (*krótko, gwałtownie — poirytowany*). Cicho, stul swoją nieumytą papę! — Hej, nie palić mi tam takich świństw, hołota! — i jak potem może tu, ta mała oddychać.

TAGLIAZONI (*wstał i woła przez drzwi w głębi dziłkim głosem w stronę piętra*). Pippa! Pippa! Vien giu, presto! Pippa — sempre avanti!



DYREKTOR (*swobodnie podnosząc się*) Stul mordę,
niech śpi — włoski łotrze!

TAGLIAZONI. Pippa!

DYREKTOR. Schowaj pieniądze wagabundo i nie
budź jej! możesz sobie pieniądze zachować, już jej
nie potrzebuję!

TAGLIAZONI. Come vuole. Grazie, signore, beh! —
(Wzrusza zrezygnowanie ramionami, mechanicznie sia-
dając znowu do gry)

DYREKTOR. Siodłać, Wende! Szkapę ze stajni!

PIPPA (*ukazuje się w drzwiach; zaspuna, bojaźliwie
przytulając się do futryny*).

DYREKTOR (*zobaczył ją, zaskoczony*). Otóż i ona! —
Co? — idź spać, Pippa! — A może jeszcze zu-
pełnie nie spała? — Chodź, zwilż sobie usteczka,
masz tu coś.

PIPPA (*idzie posłusznie do stołu i bierze kieliszek
szampana*).

DYREKTOR (*przytrzymując zgrabny kieliszek, którym
pił*). Smukła roślinka! Także Wenecyanka! — Cóż
smakuje ci mała? —

PIPPA. Dziękuję, słodkie!

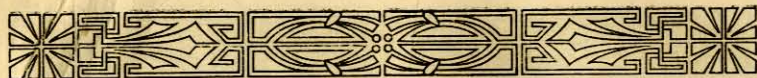
DYREKTOR. Chcesz wrócić się spać?

PIPPA. Nie.

DYREKTOR. Zimno ci?

PIPPA. Tu najcieplej.

DYREKTOR. Zapalcieź przecie! Swoją drogą nie
dziwię się zresztą, że marzniesz, ty delikatny, ślicz-
ny powojku! Chodź, siadaj i otul się moim płą-
szczem! Zrodziłaś się przecie w piecu hutniczym:
tak mi się bowiem wczoraj właśnie śniło.



PIPPA. Brr! Siaduję chętnie tylko blisko takiego
pieca!

DYREKTOR. Jak mi się śniło, w środku jednak naj-
chętniej. Widzisz, mam bzika! Stary osioł — dy-
rektor hutniczy, co to zamiast liczyć, sny miewa.
Ile razy tylko żar z pieca bucha, widzę cię często
jak salamandrę kręcącą się w rozjarzonym po-
wietrzu. I dopiero po chwili, zwolna, w ciemnej
się rozplýwasz czeluści.

STARY HUHŃ. Te same sny co oni ja już miałem.

DYREKTOR. Cóż to tam znowu mruczysz potworze?

(Pippa obraca zamyślona główkę, obserwując wszystkich,
prawą ręką rozpuszczone, jasne, ciężkie włosy odrzucając na
ramiona).

STARY HUHŃ. Cóż, zatańczymy, mały strachu?

DYREKTOR. Cóż znowu! Nie idzie mi już o taniec,
(*Do Pippy*). wystarczy mi, jeśli ty tylko tu jesteś!
cudne dzidzi!

KELNERKA (*za szynkwasem do gospodarza*). No, dy-
rektor się znowu rozochocił!

WENDE. A tobie co do tego?!

DYREKTOR. Zmęczona? Idź spać, biedna kruszynko!
tobie patrzy się być w pałacu kryształowym —
musisz zaś siedzieć w tej ohydnej speluncie. Chcesz,
to cię na koń wezmę i razem stąd uciekniemy?

PIPPA (*główką zwolna przeczy*).

DYREKTOR. A więc podoba ci się tu bardziej? —
no i znowu kręcisz główką? — Jak długo już mie-
szkacie w tym domu?

PIPPA (*namyśla się, bacznie wpatrując się w niego*)
Nie wiem!



DYREKTOR. A gdzie mieszkałaś przedtem, zanim tutaj przyszłiscie?

PIPPA (*chwilę myśli, potem zaczyna się śmiać ze swojej nieświadomości*). To było... tak, czyż nie zawsze tu byłam?

DYREKTOR. Ty?... czy może pomiędzy milczącymi pniami tych drzew szumiących?

PIPPA. Cosa?

DYREKTOR. W tym zapadłym, zaśnieszonym kraju barbarzyńskim? — (*W stronę Tagliazoniego*). Ty powiedz no, czy jej matka pochodzi z tych okolic?

TAGLIAZONI (*przez ramię*). Sì, signore. Pieve di Cadore.

DYREKTOR. Pieve di Cadore, nie prawdaż to tam po drugiej stronie tej wielkiej śluzy?

TAGLIAZONI (*śmiejąc się*). Siamo parenti del divino Tiziano, signore!

DYREKTOR. No, mała, to gotowiśmy być nawet krewnymi: on nawet tak wygląda jak mój wuj leśniczy. Jesteś więc pół na pół naszą krajanką! ale wiatr w inną stronę twe kosy złote rozwiewał!

(*Wchodzi mały, obdarty, wolowaty człowiek, grający na okarynie i staje w środku pokoju. Robotnicy lasowi, którzy siedzą razem przy jednym stole paląc i pijąc wódkę, witają go przeciągłym „hallo“.*)

PIERWSZY ROBOTNIK. Niech Huhn tańczy!

DRUGI ROBOTNIK. I mała także!

TRZECI ROBOTNIK. Dam szóstkę, jeśli ona będzie tańczyła.

CZWARTY ROBOTNIK. Popatrzcie, jaki to pysk stary Huhu już robi!



DYREKTOR. Nic z tego nie będzie, wy zbójce — karczownicy! rozumiecie!

PIERWSZY ROBOTNIK. Przecież pan dyrektor sam chciał!

DYREKTOR. Niechże to dyabli porwą — teraz już nie chcę!

HUHN (*podnosi się w całej swojej olbrzymiej okazałości, z miną wyjścia z poza stołu, przyczem, drgając febrycznie, nie spuszcza z oka Pippy*)

DYREKTOR. Huhn, siadać!

WENDE (*podchodzi natychmiast stanowczo do Huhna i chwytą go za ramię*). Siadać! Żadnych breweryi! — Jeszcze mi zawalicie podłogę. (*Do grającego na okarynie*) Przestań mi już raz z tem przekłętym piszczeniem! (*Huhn nieruchomo tkwi poza stołem, bezmyślnie się gapiąc. Okaryna milknie*).

(*Przy stole grających skończono właśnie partję. Tagliazoni zgarnia kupkę złota. Malarz Anton podnosi się nagle i uderza w stół pięścią tak, że pieniądze z niego zlatują, tocząc się po podłodze*).

ANTON. Tu jest między nami jeden, który oszukuje!!

TAGLIAZONI. Kto? co? co? dica! Kto?

ANTON. Ja nie mówię kto! tylko jeden!! Tu nie ma się z czystymi sprawami do czynienia.

PIERWSZY ROBOTNIK. No tak, kto gra z Włochem, ten musi się strzedz dobrze przed czarnemi sztukami.

SCHÄDLER. Gdzie moje pieniądze, brakuje mi cała kupa pieniędzy.

PIERWSZY ROBOTNIK. Popatrzcie, zaraz, bo on tu wam w jednej chwili zgasi lampę. Z pewnością ma czarodziejski sznurek w łapie!



DYREKTOR. To czemuż nie wyrzucicie draba!
TAGLIAZONI (*spokojnie zgarniając złoto, obraca się w połowie do dyrektora*). Altro! Drab, to są inni, io no. Basta! Andiamo a letto! Pippa, avanti! vien qua.

ANTON. Co, to teraz, kiedyś nam pieniądze zabrał, chcesz iść spać? Musisz zostać! Będziemy grali dalej.

TAGLIAZONI. E altro! Czemu nie? Ja dalej grać! come vuole! come vuole, signor mio!

(Kelnerka, gospodarz, jeden malarz, robotnik i grający na okarynie, szukają po podłodze pieniędzy).

DRUGI ROBOTNIK (*przy stole*). Jeśli jeszcze co upadnie, to, jak Boga kocham, nie szukam.

(Środkowemi drzwiami wchodzi *Michał Helriegel*, dwudziesto-trzy letni czeladnik; na głowie cienka, okrągła czapczyua, w ręce tobolek z przytroczoną szcztoką; surdut, kamizelka i spodnie jeszcze jakie takie, buty zaś zupełnie rozlazłe. Na bladej, zmęczonej twarzy chłopca i w jego ruchach, znać długie, uciążliwe błądzenie. Niezwykle delikatne, prawie szlachetne rysy twarzy. Nad górną wargą miękki meszek. W jego wysmukłej postaci czuć piętno fantazyi i piętno słabości).

KELNERKA. Jezu, tak późno i jeszcze jeden czeladnik!

HELLRIEGEL (*stoi oszołomiony, mrużąc oczy od żrącego dymu, rozglądając się lekliwie z pod powiek, w świetnym kręgu lamp: w rękach mnie czapkę starając się zasłonić nią przegryzione mrozem ręce. —*): Czy niema tu noclegu dla podróżującego czeladnika?

WENDE. Czemu nie? za dobre słowo i pieniądze (*Do chłopaka, który ogląda się za próżnem miejscem*): Proszę sobie usiąść na baryłce z wódki i wyli-



czyć pieniądze na ławce koło pieca. Może jeszcze czego potrzeba... miejsca tu dosyć.

PIERWSZY ROBOTNIK. A gdzież to tak późno, chcesz iść jeszcze nadęty braciszku?

DYREKTOR. W miodem i mlekiem płynący kraj!
HELLRIEGEL (*z pokornym ukłonem w stronę robotników, następnie dyrektora*) Chciałbym koniecznie dostać się przez grzebień w czeskie.

DYREKTOR. A jakież twój zawód?

HELLRIEGEL. Hutnictwo szklane.

DRUGI ROBOTNIK. Temu coś zdaje się nie tego we łbie! Przy tym mrozie przejść góry i to tu gdzie żadnej drogi, ani zejścia niema? Chyba, że się chce w bałwana śnieżnego zamienić i tam w górze zdechnąć!

WENDE. To już jego rzecz, nic to nas nie obchodzi.

TRZECI ROBOTNIK. Tyś z pewnością nigdy gór szkrabie nie widział? Nie znasz tutejszej zimy!?

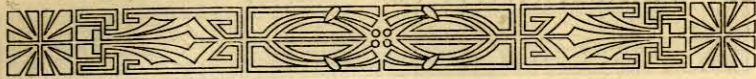
HELLRIEGEL (*skromnie się przysłuchiwał; teraz wstaje zawiesza powoli swoją czapkę, zdejmując tobolek i kładzie go wraz z kijem na bok. Następnie siada na wspomnianej beczce z wódki, przestraszony, zaciska zęby i rozgarnia sobie włosy popryskaną ręką*).

DYREKTOR. Jeśli wasze papiery w porządku to czemuż właściwie chcecie do Czech? My, tu na Śląsku także robimy szkło.

HELLRIEGEL (*nagle ożywiony*). Chciałbym się wyuczyć czegoś nadzwyczajnego!

DYREKTOR. Ach! co mówicie! cóżby to było? może w rękach kule z wody wytaczać?

HELLRIEGEL (*wzrusza ramionami*).



DYREKTOR. Zresztą i to także tu robimy — ale...
ze śniegu!

HELLRIEGEL. Śnieg to nie woda! Ja w świat chcę!

DYREKTOR. No, a tu u nas, nie jesteście w świecie?

HELLRIEGEL. Ja szukam czegoś...

DYREKTOR. Czyście co zgubili?

HELLRIEGEL. Nie! ja myślę, że znajdę coś! —
(Pół-stojąco, ciężko oparty, wielkimi, zdziwionymi oczami rozgląda się dookoła).

Ja właściwie zupełnie nie wiem, gdzie jestem.

DYREKTOR. Tak, tak się czasem zdarza. Rano nibiosom pieśń słoneczna, wieczór krzyk w ciele każdej kości.

HELLRIEGEL. Czy jest.. czy jest się tu już w Czechach, panie gospodarzu?

PIERWSZY ROBOTNIK (*śmiejąc się*) Jak ci się zdaje? znajdujesz tu choć cośkolwiek czeskiego?

HELLRIEGEL (*opadł znowu na beczulkę, ramiona szeroko oparte o ławę piecowa, rękami przy czole, stara się zasłonić, jęcząc cicho, twarz swoją*).

TRZECI ROBOTNIK. Ta ten, jeszcze trzy dni pewno niema, jak go matka odłączyła.

(*Pippa stojąc przy stole dyrektora od samego początku nie spuszcza z przybysza oka. Teraz, jakby za jego myślami podążała, siedzi niedaleko miejsca, gdzie głowa jego opadła, ręce opuściwszy na podolek, bezmyślnie huśtając nogami, z oczami ukośnie w niego wbitemi*).

DYREKTOR. Ciekawy ananas, Pippa, co? (*Ironicznie nucąc*) „Komu Bóg łaskę prawdziwą okazać chce, tego posyła... i tak dalej. Ten także pewnie śpiewa, jeśli jest w animuszu. Założyłbym się o trzy-



dzieści flaszek szampana, że nawet ma w tobołku wiersze własnego utworu!

PIPPA (*podnosi się mimowoli, jakby w jakimś zamiarze, przypatruje się to chłopcu, to znowu bezradnie otoczeniu; nagle podbiega do dyrektora*). Padrone! Padrone! on płacze!

DYREKTOR. Słodycz i łzy

To nie mój fach!

SCHÄDLER (*odchodzi od stołu i staje w postawie wojskowej przed dyrektorem*). Panie dyrektorze, ja jestem człowiekiem honorowym!

DYREKTOR. No i ? pocóż mi to teraz mówicie? po północy w tej mordowni.

SCHÄDLER (*ociera zimny pot z czoła*). Nienaganny majster jestem.

DYREKTOR. No i ?

SCHÄDLER. Chciałbym zaliczkę!

DYREKTOR. A cóż to sobie myślicie, że kasę w swojej kurtce noszę, czy co?

SCHÄDLER. ..Prywatnie...

DYREKTOR. Prywatnie, ani mi się nawet nie śni! Postaram się nawet o to, żeby was zupełnie zniszczyć.

SCHÄDLER. Oszukuje nas tu wszystkich, ten pies.

DYREKTOR. To czemuż z nim gracie? dlaczego nie zrobicie z tym łotrem końca!

SCHÄDLER. My tak, czy tak, raz koniec z nim zrobimy.

DYREKTOR. Macie w domu żonę i dzieci..

SCHÄDLER. To chyba wszyscy mamy, panie dyrektorze! Ale jeśli już raz dyabli nadali...



DYREKTOR. Nie! Takiego bzika nie popieram.

(Schädler wzrusza ramionami i idzie za szynkwas do Wendego. Widać jak go nakłania, żeby mu pożyczył. Wende z początku odmawia — wreszcie daje. Hellriegel pije tymczasem łapczywie gorący grok, który mu właśnie postawiła kelnerka. Przynosi mu teraz jedzenie, do którego się zabiera).

DYREKTOR (*podnosi szklankę w stronę chłopca*). No, ty spóźniona jaskółko! Zdrów!

HELLRIEGEL (*podnosi się uniżenie dziękując z szklanką w ręce, pije i na nowo usiada*).

DYREKTOR. Ojczyzna ptaków niebieskich jeszcze dosyć daleko.

HELLRIEGEL (*właśnie chciał usiąść, podrywa się znowu*). Ale ja chęć mam i wytrwałość!

DYREKTOR. I krwią plujesz!

HELLRIEGEL. Trochę, to nie szkodzi!

DYREKTOR. Nie. Gdybyście tylko wiedzieli, do czego to właściwie macie tę chęć... Co to właściwie was tak ciągle podrzuca, że co chwila niespodziewanie podrygujecie?

HELLRIEGEL. Czasem to aż mną rzuca z niecierpliwości.

DYREKTOR. Jak dziecko w ciemnej izbie, kiedy to mamusia za drzwiami pierwsze świeczki na bożem zapala drzewku? Zupełnie podobnie! Tak prędko jednak kolaska się nie toczy.

HELLRIEGEL. Wszystko się musi zmienić — Cały świat!

DYREKTOR. A przedewszystkiem, jego jaśnie wy-sokość!

(*Do Pippy*). A to ci największy głupiec, dziecino. z tych wszystkich mądrych, których się widzi przy



robocie prostego szkła!—(*Do Hellriegela*). „No, a weź ze sobą skrzydła jutrzeńki...“ (*krótko*) twoja podróż ma też swoje uciążliwości! — (*Do Pippy*).

— W cwał, w cwał, przez las i jar... (*chce ją na kolana posadzić; ona broni się patrząc ciągle na Hellriegela. Ten nagle się porusza, czerwieniąc się*).

HELLRIEGEL. Pozwoliłbym sobie na pewną konieczną uwagę!

DYREKTOR. Cóż to nowego was znowu podleciało?

HELLRIEGEL. ...W tej chwili nie!

DYREKTOR. No, może znowu niebo?

(Hellriegel patrzy stropiony na dyrektora, zapomniawszy usiąść).

PIPPA (*nagle porywa mały rzemyk i uderza nim silnie w rękę dyrektora*).

DYREKTOR. Au!

PIPPA (*uśmiecha się do Hellriegela, który zapomniawszy wszystkiego, patrzy w jej oczy. Wargi jego poruszają się bezdźwięcznie*).

DYREKTOR (*wyciąga rękę*). No jeszcze raz, Pippa (*Pippa go uderza*). Au, ale teraz to było silnie! No, wszystko dobre w trójcy: a więc po raz trzeci jeszcze. (*Pippa śmiejąc się uderza go z całej siły*). Tak, należycie ukarałaś mię już. Jeśli teraz kiedy ptak jakiś z gniazda wypadnie, będę wiedział, co mam robić.

(Stary Huhn, który podczas tego znowu usiadł, położył się prawie na stole, wyciągnawszy rękę daleko, kiwa grubym, obrośniętym palcem na Pippę. Ponieważ jednak ta nie słucha go, lub też raczej na niego nie zważa, podnosi się, dosyć już napatrzwszy się grze między nią, dyrektorem a Hellriegelem, wgapia się w niego, podnosi swoje długie, sennie opadające



ramiona goryle i kładzie mu dłonie na piersi, wypychając go w ten sposób w stronę beczulki; potem obraca się, kiwa przebiegle na Pippę i podnosi w dziwaczny sposób swoje łokcie, przypominając orła, balansującego w klatce na drążku, rozpoczynając niejako taniec i zapraszając do niego).

DYREKTOR. Cóż cię to napada stary dromedarze?

ROBOTNICY LEŚNI (*przewołując się*). Niech mała tańczy! niech mała tańczy!

KELNERKA (*zdjęła małe tamburino z półki, gdzie stoją flaszki z wódką i rzuca Pippię, która je łapie*).

No bębnie, nie daj się prosić, nie ociągaj się; nie jesteś znowu taką rarytasową księżniczką!

(Pippa patrzy najpierw na dyrektora, potem na Hellriegela, mierząc w końcu od stóp do głowy nienawistnym wzrokiem olbrzyma. Nagle uderza w tamburino, potrząsając i dzwoniąc niem idzie w tańcu na Huhna, z zamiarem omińnięcia go i tańczenia przed nim. Odzywa się okaryna, w takt której stary również idzie w taniec. Polega on na tem, że zdaje się w nim w poszukiwaniach gonitewnych klócić niezgrabność z olbrzymością, szybkość i czar jakiś; coś podobnego, jak kiedy niedźwiedź goni barwnego motyla, który go okraża. Ile razy mała mu ucieknie, śmieje się głośno, srebrystym dźwiękiem Często się wymyka, okręcając się, przy czem czerwonawo-złote jej włosy owijają ją. Goniona, wydaje okrzyk, coś jak *ai*, lub też jak kwilenie dziecięce. Stary podskakuje dziwacznie śmiesznie, jak schwytyany jastrząb. Wyczekuje stosownej chwili, nie łapie jej, dyszy — coraz to więcej podniecony, coraz to głośniejszy mrucząc. Pippa coraz ekstatyczniej tańczy. — Robotnicy leśni powstali. Grający, grę rzucili i z zajęciem się przypatrują. Tagliazoni, którego to nic nie obchodzi, korzysta ze sposobności, zgarnia pieniądze, fałszując swoje karty. Nie widzi, zajęty tem, że Schädler pilnie go obserwuje. Teraz zdaje się, że Pippa nie zdola uciec już tyranowi, wydaje okrzyk głośny, w tej samej zaś chwili Schädler chwyta za lewą rękę Tagliazoniego obydwoma rękoma).



SCHÄDLER (*przekrzykując wszystkich*). Stać!

TAGLIAZONI. Cosa, Signore?

SCHÄDLER. Hoza, hoza, hoza: tu się oszukuje! Przecieżem tego łotra złapał na gorącym uczynku!

TAGLIAZONI. È motto! è motto! diavolo! son fiol di Muran Conosce la casa de' Colteli?

SCHÄDLER. Nie pomoże tu ani koza, ani byk, ani baran! Anton przytrzymaj go tam silnie; raz mu musimy za to uczciwie zapłacić! (*Anton chwyta silnie drugą ręką Tagliazoniego*). Fałszywe karty popodsuwał, a te dwie ukradł.

(Wszyscy z wyjątkiem Pippy i Hellriegela, którzy ciężko oddychając, bladzi w kącie stoją — cisną się do stołu grających).

DYREKTOR. Tagliazoni, a co ja wam mówiłem, żebyście miarki nie przebierali!

TAGLIAZONI. Puścić, albo ja cię w twarz ugryźć!

SCHÄDLER. Gryź i pluj ile tylko zechcesz, ale pieniądze musisz nam oddać, kanalio!

WSZYSCY GRACZE Tak jest, każdy grosz — wszystko!

TAGLIAZONI. Cazzo, może co wykichnę; przekłete bestye niemieckie, głupie, złe, niskie bestye! Cóż ja mam mieć z wami tedeschi do czynienia.

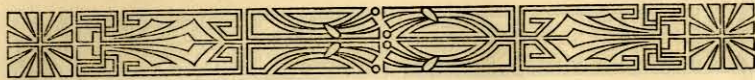
PIERWSZY ROBOTNIK. A dajże w łeb szelmie.

DRUGI ROBOTNIK. A kłonicą go przez mordę, żeby mu się aż świeczki żółte w oczach zaświeciły! Inaczej temu fałszerzowi po niemiecku odpowiedzieć nie można!

WENDE. Cicho, chop; nie ścierpię tego!

SCHÄDLER. Wende, wydrzejno mu karty z paluchów!

TAGLIAZONI. Ja was tu wszystkich wymordować!



ANTON (*hardo*). Dobrze!

DRUGI ROBOTNIK. A jakie ten łotr na palcach ma pierścienie!

TAGLIAZONI. Padrone, ja żądać świadków! Ja tu zbójcecko zostać napadnięty, ja nie robić żadnej ugody! Lavoro niente, niente piu. Rzucam wszystko i idę — Carabinieri! Policya! Pazzia bestialissima!

PIERWSZY ROBOTNIK. Rycz sobie; tu niema policji!

DRUGI ROBOTNIK. Tu, jak tylko daleko możesz zobaczyć, nic tylko świerki i śnieg.

TAGLIAZONI. Chiama... chiamate i carabinieri! Briganti! Signore Wende! Goń Pippa!

DYREKTOR. Radzę ci człowieku, ratuj się! W przeciwnym razie nie zaręczyłbym za nic.

TAGLIAZONI. Brutte bestie! Basta così!

(Nagle, błyskawicznie szybko Tagliazoni się wrywa, wyciąga sztylet, zaskakując za stół. Napastnicy na chwilę niemieją).

TRZECI ROBOTNIK. Aa, nóż?! Utłuc psa!

WSZYSCY RAZEM. Teraz to, tu już musi być koniec!

DYREKTOR. Nie zatłuczcie mi Tagliazoniego! potrzebuję go w hucie! nie zróbcie tego, czegobyście mogli jutro żałować!

Tagliazoni instynktownie widzi groźne położenie chwili, cofa się, piersiami ku napastnikom, do drzwi. Robotnicy i grający następują na niego z okrzykami: „Utłuc, utłuc go“. Widać przytem błysk kilku noży).

DYREKTOR. Przecież mi chyba na końcu hycła nie rozczepią.

WENDE. Rozniosą mi całkiem budę.



KELNERKA (*patrzac przez otwarte okno*). Teraz ucieka przez kładkę do lasu; o, upada, wstaje, a ciągle ma ich za sobą!

DYREKTOR. Spuszczę duńskiego psa i rozpędzę bandę!

WENDE. No teraz to jużbym za nic nie zaręczył!

DYREKTOR. Co to?

KELNERKA. Jeden w śniegu już został! Reszta goni do lasu.

(Słychać straszny, odległością przyduszony, szeroko-rozlegający się okrzyk).

WENDE. Zamknąć okno, lampa zgaśnie.

(Lampa rzeczywiście gaśnie. Kelnerka zatrząskuje okno).

DYREKTOR. To gotowo niedobrze się skończy! Chodźno ze mną, Wende!

WENDE. Za nic, absolutnie za nic nie ręcę!

(Razem z dyrektorem, który postępuje naprzód, wychodzą).

KELNERKA (*bezradnie, gwałtownie do Hellriegela*).

Zawsze tylko wstawaj, pomagaj, ratuj! no tak, bo tu każdy może przyleźć — te przeklęte karciska! (*porywa karty ze stołu i rzuca je za piec*). Powinście iść, przez was to się stało z uim! Widzicie go, przywlokł ze sobą nieszczęście, a teraz to pomódz nie chce!

HELLRIEGEL (*zrywa się, chwilę stoi, pół-popychany, a pół-ciągnięty przez kelnerkę, wychodzi z nią przez drzwi środkowe*).

HUHN *stoi w tej samej pozycji, w jakiej zaskoczyła go w tańcu sprzeczka. Oczy jego niespokojnie śledzą przebieg całej sprawy. Teraz powoli się obracając, próbuje rozeznąć się w ciemności. Nie może dojrzeć*



Pippy, która przykucnęła ze strachu w kącie, na ziemi.

HUHN *wyciąga siarniki, pociera je i zapala lampę. Znowu szuka i wreszcie ją znajduje. Stoi na środku i kiwa na nią z groźną uprzejmością. Pippa patrzy się oniemiała na niego, jak ptak schwytyany, który dopiero co wypadł z gniazda. Jęczy tylko cicho, kiedy on zbliża się do niej. Ktoś wyrывa z zewnątrz małe okienko — słycać głos dyrektora).*

GŁOS DYREKTORA. Pippa! Pippa! ależ ona nie może tu zostać! Wezmę ją ze sobą!

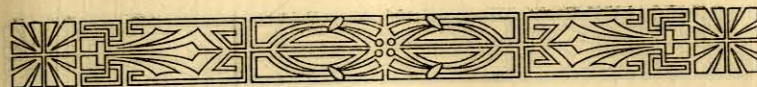
(W chwili, kiedy dyrektor odstąpił od okna, rzuca się Huhn na Pippę, która chce mu się wyrwać, obejmuje ją, porывa w ramiona. Pippa krótko, żałośnie krzyknawszy, omdlewa).

HUHN. A więc przecież cię w końcu dostałem!

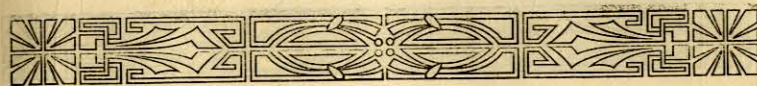
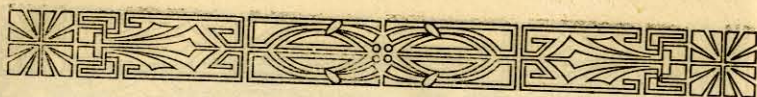
GŁOS DYREKTORA. *(znowu przy okienku)* Pippa, Pippa jesteś tam w izbie? Nie bój się, nikt cię tknąć nawet nie śmie.

(Wchodzi kelnerka).

KELNERKA. Ani żywej duszy! nikt nie wraca, a tam w śniegu jeden w krwi umiera.



AKT II.



AKT II.

Wnętrze chaty, samotnie stojącej w górach. Wielka niska izba, niebardzo zaniedbana. Pułap czarny od dymu i starości. Jedna belka wykrzywiona, reszta powyginane podparte dorywczo nieobrobionymi palami. Pale obite malutkimi deszczułkami. Podłoga z gliny, pełna nierówności i wyboi, wyłożona ceglami tylko wokół pół-walącego się pieca. Pod trzema małymi, kwadratowymi otworami okiennymi wzdłuż których biegnie czarna od dymu ławka ścienna, przysunięte dwa łózka, sklecone z desek, wyłożone słomą, mchem i liśćmi. Okienko trzecie oszklone brudnymi szybami; zamiast czwartego znowu deski i mech. Przy ścianie, w kącie koło pieca, więcej ku przodowi, pleciony stół. W głębi drzwi. Widać przez nie ponurą sień podpartą belkami, jak izba i ukośne, podobne do drabiny schodki, prowadzące na strych.

W izbie przepierzenie z desek, wewnątrz którego gałęzie brzoź, buków i dębów; na tem stare szmaty z ubrań i okryć: schronienie nocne starego Huhna, do którego ta chata należy. Na ścianie wisi stara strzelba, potargana szlafmyca, części ubrania i kilkanaście obrazków, wyciętych z gazet. Na tarcicach dużo liści. W kącie kupa ziemniaków; na palach wiszą wieńce cebuli i suszonych grzybów. Mały jedyny snop światła noc księżycowa na izbę przez okienka rzuca.

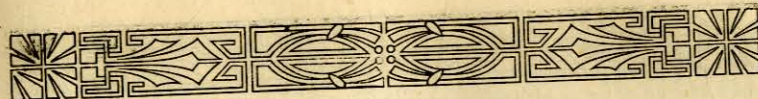
Nagle w sieni robi się jasno. Słychać parskanie i ciężkie sapanie. Ukazuje się stary Huhn, niosąc na rękach Pippe. Wchodzi do izby i kładzie ją na postaniu z liści, przykrywając ją szmatami. Następnie wyciąga z kąta podporę z łuczycywem, w której tkwi smolak, zapala go, obserwując podczas tego, podniecony bardzo, Pippe. Słychać pierwsze odgłosy burzy. W sieni śnieg płatkami się kręci. Huhn zdejmuje półki, fiaszkę i wlewa w wódkę usta Pippy. Ta przychodzi do siebie, odetchnąwszy głęboko — Huhn okrywa ją jeszcze starannie, biegnie do pieca i z przygotowanej kupy chróstu roznieca ogień).



HUHN *podrywa się, nadstuchuje u drzwi i woła obłąkańczo gwałtownym, nienawistnym, tajemniczym głosem: Kuba, zejdźno tu, zejdźno tu! — przyniosłem ci coś (Wystuchuje odpowiedzi, śmiejąc się do siebie).*

PIPPA (*jęczy, orzeźwiona trunkiem; nagle podnosi się, ogląda się z przerażeniem dookoła, przeciera oczy, opuszcza ręce, jęczy, wyskakuje i goni jak ptak spłoszony, w stronę ściany*) Pani Wende, pani Wende! gdzie ja jestem? (*Z obrzydzeniem ogląda się poza siebie, spostrzega Huhna i rozbija się ślepo w rozpaczliwej trwodze, od jednej ściany, do drugiej*). Udużę się! ratunku! nie zabijaj mię! Padre! Padrone! ach, ach! Ratunku! Pani Wende, ja chyba śnię!

HUHN (*idzie na nią, przyczem Pippa natychmiast nie mieje i w rozpaczliwej obronie wyciąga ręce*). Cicho cicho; stary Huhu nic ci nie robi — stary zaś Jakób jest także przyjaźny. (*Ponieważ Pippa, osłupiała zupełnie, tkwi na dawnym miejscu, postępuje niepewnie kilka kroków, zatrzymuje się jednak nagle powstrzymany wyrazem obłąkanego wstrętu i strachu twarzy Pippy*) No więc i co! — Nu? — powiedzże choć słowo! — jeszcze się roztluczesz o ścianę! — u mnie przecie ładnie, na dworze zaś śmierć czatuje! — (*Gapi się na nią chwilę badawczo, wyczekująco; nagle przychodzi mu pomysł*): Aha! Jakób sprowadzi tu kozę! — — Jakób — ! — Mleko kozie grzeje! Mleko kozie będzie dobre. — (*Naśladuje cichy to znowu głośny bek zaspanego w stajni stada kóz i baranów*). Be, bee, be! — Słyszysz przechodzą przez kładkę, Jakób, Jakób, wprowadźno je tutaj!



PIPPA (*rzuciwszy okiem, zobaczyła drzwi; mimowoli podnosi się i podrywa się do ucieczki. Huhn zabiega jej drogę*).

HUHN. Nie tknę się ciebie! nie ruszę cię, dziewczusko! tak czy tak, musisz u mnie zostać.

PIPPA. Pani Wende! pani Wende! — (*Stoi cisnąc ręce do twarzy*).

HUHN. Nie bój się! — Co się stało — to się już nie odstanie! — Czasem to tak stawia się zatrzaski na wiosnę... no i czasem zimą wpadają w nie trznadle! — — (*wciąga głęboki łyk z flaszki z wódką*).
(W drzwiach ukazuje się głowa kozy).

HUHN. Hej, Jakób, zastawno Ludkę na polu! Musi mi dać dzisiaj parę kropel więcej mleka. — (*Bierze mały stołeczek, wchodzi do sionki i doi kozę, zasłaniając równocześnie sobą drzwi. Przez ten czas Pippa już trochę ochłonęła. Jej cichy jęk i kwilenie wyraża już omdlałą uległość; znowu ją lęk porywa, zbliża się mimowoli do ściany oświeconej jasnym płomieniem ognia buchającego z gruby; zdaje się w roztępieniu zatapiać, klęcząc na ziemi, wpatrzona w głośno trzaskający płomień*).

PIPPA. O santa Maria, madre di dio! o madre Maria! o santa Anna! o Maria, madre santa!

(Stary Huhn wydoił już kozę — wraca do izby. Strach i przerażenie Pippy znowu się wzmagają; przystępuje do niej, stawia w pewnej odległości garnuszek z mlekiem i cofa się).

HUHN. No pij — kozie mleko, ty mała, złota ciotko! (*Pippa patrzy zrozpaczona na Huhna, porywa garnuszek i pije łapczywie*).

HUHN (*uderza się oboma rękami po kolanach i śmie*



je się chrapliwie, z tryumfem). Najpierw się posilić, potem to już siły przyjdą! (*Odwraca się, wyciąga z za pieca woreczek, wysypuje z niego ułamki chleba na stół, wyjmuje z rury żelazny, szczerbaty garnek z ziemniakami, przysuwa go do Pippy, pije, flaszkę z wódką stawia również na stole, zasiadając na ławce do jedzenia. Nowe, silne, gwałtowne, uderzenie wiatru; dziko się oglądając odpowiada mu Huhn*). No, możesz przyjść, zawsze, jeśli tylko chcesz; spróbuj, spróbuj, czy co wskórasz!

PIPPA. Huhn, stary Huhn, ach wypuść mię! znam was przecież: Wy jesteście ojciec Huhn! Co to się stało? Dlaczego ja u was jestem?

HUHN. A no dlatego, że tak się czasem musi dziać na świecie.

PIPPA. Co się musi dziać? jak to myślicie?

HUHN. Czego kto niema, to to musi sobie wziąć!

PIPPA. Jak to myślicie? ja was nie rozumię?

HUHN. Nie wzburzaj mię, bo mi serce pęknie! — (*Zbladł nagle, drży, ciężko oddycha i cofa się, gdyż Pippa ustami dotknęła jego ręki*).

PIPPA (*namyśla się, potem rzuca się do zawartych drzwi*). Ratunku! ratunku!

HUHN. Nic z tego! tamtędy nikt nawet nie przejdzie! zostaniesz u mnie, a u mnie jest ładnie! jak u cesarza... nigdzie nie jest ładniej! musisz słuchać, musisz być posłuszną.

PIPPA. Ojczy Huhn, ojczy Huhn — przecież mi niczego złego nie zrobicie?

HUHN (*uspakajająco kiwając głową*). Nikt ci włoska



nawet tknąć nie śmie! zaden ojciec i zaden dyrektor. Tu bezpieczną jesteś i — moją.

PIPPA. To tu mam się zagrzebać już na wieki?

HUHN. Ptaszyno, laleczko, motylku! słuchaj: grób ty sama otworzysz.—Słuchaj, słuchaj! nocny idzie strzelec! schylno się! Strzelec nocny z gór idzie! słyszysz, tam na dworze skomlą już dzieci! stoją gołe na zimnym kamieniu w sieni i kwilą. Dobre są! A ponieważ dobre są, nie bój się ich. Schyl się, siadaj na przypiecku; inaczej pięścią za włosy cię porwie i, niech Bóg cię uchowa, będziesz musiała iść w zawieruchę. Chodź, ukryję cię! zawinę cię! jakżeż to wyje, świszczy, skuczy i pada z dachu z tą odrobiną wiechcia! Ucieka przede mną, zawsze na łeb z tem—no już przeszło: widzisz to plunięcia nie warto! ja nie wartym plunięcia, ty i cały świat — wszystko plunięcie nic więcej! ale kiedyś może będzie przecież inaczej.

(Huragan przeleciał. W twarzy Pippy znowu wyraz obłądnego strachu. Huhn stoi, także nieruchomy jeszcze, w środku izby, w głębokiej tajemniczej ciszy. Nagle słyhać na dworze głos jakiś i wyraźne pukanie; najpierw przy zabitym, okiennym otworze, potem u szyby, przysłoniętej nagle jakimś cieniem. Huhn opanowuje się i wpatruje się w nowe zjawisko.)

GŁOS, (*odległością przygłuszony*) Huhu, szuhu! Do pioruna, a to piekielne powietrze! co? Mieszka tu kto? Moje najpiękniejsze: „Bóg z wami!“ Jeśli wy mi nic nie zrobicie to i ja wam również! Dajcie mi tylko odrobinę gorącej kawy, wpuście mię i pozwólcie trochę się ogrzać, zanim się rozwidni! uniesienie przemarzły czeladnik!



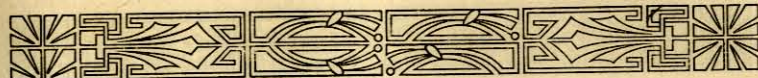
HUHN (*z dziką wściekłością*) Czego tu kto chce? kto tu włóczy się koło domu starego Huhna? człowiek, czy duch? ja ci tu zaraz pomogę wylecieć — (*Porywa ciężki kij i wybiega drzwiami na pole*).

(Z głębokim westchnieniem zamyka Pippa oczy. Teraz wydaje się, jakby coś, w rodzaju dzwoniącego wiewu przez ciemne wnętrza przeleciało. Wtem — podczas, gdy dziwna muzyka coraz silniej rozdźwięcza się i płynie — w drzwiach, na progu, ukazuje się *Michał Hellriegel*. Niepewnie, ostrożnie, porusza się w świetlnym kręgu łuczywa, oczy nieufnie, badawczo wbiwszy w ciemność.

HELLRIEGEL. A to wcale harmonijna mordownia! — Hee, gospodarstwo, — aha, pewnie tu jakiś mączeniuk gra na harmonijce? — he, gospodarstwo! — (*Kicha*) — Musi to być jakiś wcale muzyczny ciemiernik (*Pippa kicha również*) — Co to, czy tu jest kto drugi?

PIPPA (*w pół-snie*). Tu — ktoś — gra — na — harmonijce?

HELLRIEGEL (*nastuchuje, nie widząc Pippy*). Racya, mączeniuk, według mojego zapatrywania! — ? a zabrząkaj, kochany robaczku, o tem, co w słomie szeleści. — Jeśli kiedy w nocy szczur się porusza, myśli się wtedy, że traczą wodny, a jeśli cdrobina powietrza przez szparę drzwi wpadnie i dwie suche kartki w książce przewróci, to zaraz się zdaje, że słycać szept ślicznej dziewczyny, lub też westchnienie jej za wybawcą — Michale Hellriegelu, ty jesteś bardzo mądry! ty nawet słyszysz w zimie jak trawa rośnie! ale ja ci radzę pilnuj ty swoich klepek w głowie! twoja matka ma rację! nie daj przewrócić się twojej fantastycznej duszy, jak garn-

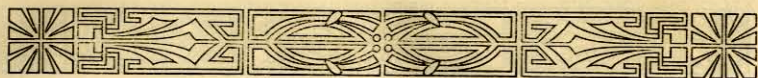


kowi z mlekiem! nie wierz we wszystko pewnie i niezbitcie, co jest prawdą i nie goń jak babie lato mil tysiące, coraz to dalej! — Dobry wieczór! — — Nazywam się Michał Lebrecht Hellriegel! — (*Nastuchuje chwilę, wyczekując odpowiedzi*). Dziwi mnie to doprawdy, że mi nikt nie odpowiada — a dopiero co świeży ogień na kominie, — tu rzeczywiście coś zupełnie osobliwego znajduję: tak to tu wygląda? Gdybym tak naprzykład na okapie zobaczył papugę, która warząchwia miesza bigos, i która przytem wykrzykuje do mnie: Hyclu! drabie! koniokrądzio! — toby przynajmniej coś było. Z ludożercy rezygnuję zupełnie! albo jeśli już koniecznie, to także przesłiczna księżniczka, którą potwór przeklęty w klatce więzi; naprzykład, mała milutka tancerka, — aha coś mądrego przyszło mi na myśl: kupiłem przecież okarynę! wycygałem ją od tego starego wszarza Franka, który grał w szynku do tańca za ostatniego mojego talara — mądrze zrobiłem. Dlaczego — sam właściwie nie wiem! może dlatego, że imię to tak dziwnie brzmiało albo też wmawiam sobie, że mała, czerwono-włosa rusałka gdzieś ukrywa się, a kiedy zagram skądś wyskoczy i zacznie tańczyć? — No, doprawdy chciałbym raz spróbować.

(*Michał Hellriegel przykłada okarynę do ust, ogląda się badawczo naokoło i gra. Przy pierwszych już tonach podnosi się Pippa z zamkniętymi oczyma, wybiega na środek izby i staje w postawie tanecznej*).

PIPPA. Tak, ojczy... idę! jestem już tu!

(*Michał Hellriegel upuszcza okarynę, słupieje, usta otwiera, nagle zaskoczony*).



HELLRIEGEL. Widzisz, Michał, doliberowałeś się: teraz toś już kompletnie zbaraniał!

PIPPA (*otwiera jak ze snu oczy*). Jest tu kto?

HELLRIEGEL. Nie, właściwie nikt prócz mnie, z przeproszeniem.

PIPPA. Kto tu mówi? i gdzie ja jestem?

HELLRIEGEL. W mojej niewyspanej głowie!

PIPPA (*przypomina sobie Hellriegela z leśnej karczmy i podbiega do jego ramion*). Ratuj mnie, ratuj mnie! wyrwij stad!

(Hellriegel patrzy oniemiały wokoło, potem na przepyszne tycyafisko-jasne włosy jej główki, którą mu na piersiach ukryła. Nie rusza ramion oplecionych teraz silnie rękami Pippy).

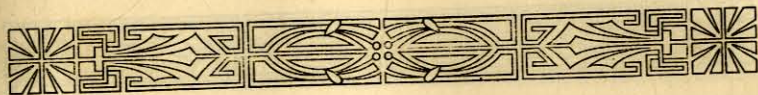
HELLRIEGEL. Gdybym teraz... gdybym teraz... na przykład: gdybym tak ręce miał wolne; tobym, nimo, że matka niechętnie to widzi, strofek parę w mojej książeczce napisał, możliwie nawet i wierszem — No, ale nie mogę rąk moich rozluźnić — spowijała mię fantazyja! — ona to niech mię dyabeł porwie — powiązała mię, w szczególności przyjemny, wymarzony sposób, tak, że serce krtań mi rozrywa, całego mię rozpłomieniając.

PIPPA. Ratuj! ratuj! uwolnij mię! z rąk tego olbrzymiego potwora!

HELLRIEGEL. Jakże się nazywasz?

PIPPA. Pippa.

HELLRIEGEL. Tak, dobrze! Słyszałem jak wymawiał to imię, ten, ten drab w sztylpach. Potem szelma uciekł: wysłiznął się. Kiedy to oni tego psa fałszywego ubijali, wołał naturalnie być gdzieindziej. A



i ciebie nie było, kiedy wróciłem... to znaczy wróciliśmy z umierającym Włochem; nie znalazłem cię na dole, a nie chciałem już iść do jego sypialnej izby. — Byłbym go jeszcze o ciebie pytał, no ale on już włoskiej swojej mowy na wieki zapomniał!

PIPPA. Chodź, natychmiast trzeba stąd uciec! Ach, nie opuszczaj mię!

HELLRIEGEL. Nie! Oto możesz być zupełnie spokojna, nie opuścimy się wzajem już nigdy. Kto raz, tak jak ja złapał ptaka, ten mu już tak prędko uciec nie pozwoli. A więc, Pippa, siadaj, uspokój się! musimy najpierw rozglądać się w naszej sytuacji! tak żeby niczego nie przeoczyć!

(Uwalnia się miękko z jej uścisku, z rycerską galanterią i szacunkiem ujmuje mały jej palec, dwoma swoimi palcami i prowadzi ją do małego stołeczka; Pippa siada).

HELLRIEGEL (*stoi przed Pippą, z fantastycznym gestem*). A więc, jastrząb cię porwał — domyślałem się tego jeszcze w tej leśnej knajpie — odbiwszy cię fałszywemu czarodziejowi; a ponieważ jestem podróżującym artystą, w tej chwili chęć się we mnie zrodziła: uwolnić cię; natychmiast też puściłem się bez planu w pogoń.

PIPPA. Skąd więc przychodzisz? Kto ty jesteś?

HELLRIEGEL. Syn owdowiałej owocarki—Hellriegel.

PIPPA. No a skąd przychodzisz?

HELLRIEGEL. Z wielkiego, kielbasianego kotła naszego pana.

PIPPA (*śmieje się serdecznie*). Jak ty to śmiesznie mówisz!

HELLRIEGEL. Tem się też zawsze odznaczałem.



PIPPA. Ale popatrz, ciało mam i krew gorącą! a tu stary, obłąkany Huhn, ten zestarzały, oddalony hutnik, nic więcej; w dodatku ma wól i obrzękłe policzki; a teraz już przecie niema płomiennych smoków!

HELLRIEGEL. Mój Boże, czemużby nie?

PIPPA. Prędko! odprowadź mnie do matki Wende! chodź ze mną; znam drogę do szynku w Rotwassergrund! Poprowadzę cię! nie zabłądzimy! (*Hellriegel przeczy głową*). Czyżbyś mię chciał tu rzeczywiście zostawić?

HELLRIEGEL (*gwałtownie przeczy*). Nie, mojej okaryny nie sprzedam!

PIPPA (*śmieje się bojaśliwie do niego*). Co ci tak na tej okarynie zależy? czemuż nie powiesz coś stanowczego? pleciesz tylko głupstwa! jakiś ty głupi signore—Hellriegel! (*całując go gorąco, pół z płaczem*). Ja zupełnie nie wiem, jakiś ty głupi właściwie!

HELLRIEGEL. Stój! wpadło mi teraz coś do głowy!
(— Ujmuje jej głowę, patrzy głęboko w oczy i w ciemem zdecydowaniu, długo, gorąco, usta swoje do jej przyciska).

— Na dudka nie da się Michaś wystrychnąć!

(Nie puszczając się z objęć, patrzą na siebie zaskoczeni i niezdecydowani).

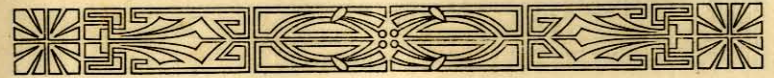
HELLRIEGEL. Tak się coś dziwnego ze mną dzieje, mała Pippo! jakaś nieznaną przemianą!

PIPPA. Ach, dobry...

HELLRIEGEL (*uzupełniając*). Michaś.

PIPPA. Michaś, co robisz? — — —

HELLRIEGEL. Sam nie wiem, co się ze mną dzieje! nie żądaj odpowiedzi! Nie gniewasz się za to?



PIPPA. Nie.

HELLRIEGEL. A moglibyśmy tak to jeszcze raz, zaraz zrobić?

PIPPA. Czemu?

HELLRIEGEL. Bo to takie proste! — to takie proste i takie szalone i takie... takie strasznie... do zwaryowania — kochane.

PIPPA. Myślę, że ty już, Michaś, zwaryowałeś.

HELLRIEGEL (*skrobiąc się za uchem*). Gdyby tylko na to można się spuścić! niema nic na świecie pewnego! — Wiesz, znowu co innego na myśl mi przychodzi! — Opamiętajmy się — rozpatrzmy jeszcze raz tę sprawę od początku! chodź, usiądź tu, tu koło mnie. Przedewszystkiem więc — tu jest ręka!... pozwól, przystąpimy zaraz do najgłówniejszej rzeczy: czy w tym mechanizmie jest sprężyna? — (*obstłuchuje jej piersi, jak lekarz*) — To ty żyjesz! ty serce masz, Pippa!

PIPPA. Ależ, Michaś, to ty w to wątpisz? —

HELLRIEGEL. Nie, Pippa! — ale.. jesteś ty rzeczywiście żywa — to, to najpierw niech oddech złapie. (*Rzeczywiście wciągając oddech, odstepuje od niej*).

PIPPA. Michaś, nie mamy czasu! słyszysz jak wyje na polu, i, że ktoś ciągle koło chaty chodzi! już trzy razy był przy oknie. Michaś, zabije cię, jeśli nas tu znajdzie. Widzisz, znowu go słyhać!

HELLRIEGEL. O ty mała księżniczko „Bój się mnie“! Ej, ty nie znasz jeszcze syna mojej matki! Nic sobie z tego starego goryla nie rób! jeśli chcesz, but mój z łbem jego znajomość zaraz zrobi!—



PIPPA. Michaś, nie, nie rób tego, Michaś!

HELLRIEGEL. Pewnie! — albo, przeze mnie zaczniemy razem nowe, inne życie! oddajmy się tylko sobie wzajemnie i rwijmy w świat! rzeczywistością się, Pippo, spoimy! dobrze? ty ze mną, a z tobą ja! nie! nie mogę tego nawet wymówić, bo przecież ty, jak kwiat pachnący na łodydze wątlej, krucha jesteś! przestańmy dziecino, dosyć fantazyj! — (*Bierze swój tobolek i umocowuje go sobie*). Tu w toboleku jest schowek. Uważaj: w nim, Michał Hellriegel ma realny spadek matczynego dowcipu we wszystkich wypadkach na świecie. (*Trzyma małą szkatułkę*). Praktyczne! w środku same praktyczne rzeczy! najpierw to otóż to jest czarodziejska wykałaczką! widzisz: postać ma miecza; możesz tem smoki i olbrzymy przebijać! — Tu, w tej fiaszeczce, mam eliksir, z którego potem damy się trochę temu plugastwu napić; tak zwany trunek senny, nieoceniony na czarowników i olbrzymów! — Tu, ot taka sobie zwyczajna, mała szpulka nic; ale jeśli jeden koniec tu przywiążesz, natychmiast szpulka przed tobą toczyć się poczyna, skacze przed tobą jak biała myszka i jeśli ciągle za nicią idziesz, dojdiesz na pewno tam, gdzie pragniesz. — Mam tu jeszcze malutki, taki dla lalek stoliczek: ale to Pippo, nic nadzwyczajnego nie oznacza: ot tylko „stoliczku — nakryj się.“ No, zuch ze mnie; masz do mnie zaufanie?

PIPPA. Michaś, ale ja tego wszystkiego nie widzę!

HELLRIEGEL. Czekał, to muszę cię wprzód wybadać!



PIPPA. Wierzę! schowaj się! stary nadchodzi!

HELLRIEGEL. Powiedzno Pippo, gdzie się urodziła.

PIPPA. Zdaje mi się, w jakimś mieście nad wodą!

HELLRIEGEL. Widzisz, zaraz się tego domyśliłem! a czy tam tak samo podle, jak tutaj? czy tam także po największej części chmury zasłaniają niebo?

PIPPA. Nie, Michaś, jedną tylko widziałam i codziennie jasne słońko, kochane!

HELLRIEGEL. A więc widzisz przecie, jaka ty jesteś! myślisz, że uwierzyłaby ci w to wszystko matka? — powiedzże mi więc: wierzysz mi?

PIPPA. Dziesięć tysięcy razy, Michaś, w każdej chwili.

HELLRIEGEL. Pięknie! a więc możemy już teraz przez góry uciekać — przecież to drobnostka! Ja znam tu drożynę każdą i każdy kamień! a tam w górze wnet już wiosna się zaczyna!

PIPPA. O! no, no, no, ja nie mogę iść z tobą! mio padre è tanto cattivo! znówuby mię potem na chleb i wodę zamknął!

HELLRIEGEL. Tak, Pippo, ale twój ojciec już zupełnie nie jest szkodliwy! ograniczona już jego wola i chęć! pokorny on teraz w dziwny sposób! nie mogłem wyjść z podziwu jak jest cierpliwy! tak całkiem spokojny! zupełnie nie jak Włoch! łagodny! łagodny! żadnej muszce nawet krzywdy już nie zrobił! — rozumiesz, co ja właściwie chcę powiedzieć, mała Pippo? — twój ojciec tak długo grał i wygrywał, aż wreszcie przegrał! Wkońcu wszyscy



przegrywają, Pippo, a więc wyraźnie — twój ojciec nie żyje.

PIPPA. (*śmiejąc się raczej niż płacząc tuli się do piersi Michała*). A więc nie mam już nikogo na świecie! nikogo, prócz ciebie!

HELLRIEGEL. To też już dosyć, Pippo! zaprzędam się dobie duszą i ciałem! od stóp do głowy, jak stoję! a teraz hop, hop, w świat daleki!

PIPPA. Wezmiesz mię ze sobą, nie opuścisz mię?

HELLRIEGEL. Ja ciebie, opuścić? nie wziąć cię ze sobą?... teraz ja ciebie poprowadzę. zdaj się mi teraz zupełnie! kamienie z pod stóp twoich usunę! — Słuchaj jak jęczy szkło po górach świerkowych! Słyszysz? długie szyszki dzwonią. Świt już niedaleko, tylko straszny mróz! Owinę cię, zaniosę! jedno drugie rozgrzewać będzie, nieprawda? i aż się zdziwisz, jak prędko uciekniemy. Brzask się już sący powoli! popatrz na moje palce: trochę już słońca na nich. Można je jeść! musi się je spić, powstrzymać siebie i krwi swojej nie można! — Słyszysz głos ptaków, Pippo?

PIPPA. Tak, Michaś!

HELLRIEGEL. Cirp, cirp, to albo mysz, albo trzadel albo też może zawiasy u drzwi! — wszystko się budzi! stary dom aż cały trzeszczy! czasem mam takie jakieś dziwne uczucie: gdy niesłychane zdarzenie się zbliża i cały ocean światła z gorącego złotego dzbana się wylewa.

PIPPA. Michaś, nie słyszysz, ktoś woła?

HELLRIEGEL. Nie, jeden głos tylko słyszę! coś tak, jak kiedy byk na pastwisku ryczy!



PIPPA To stary Huhn! strasznie!

HELLRIEGEL. Ciekawe jednak co on woła?

PIPPA. O, tam stoi, Michaś, nie widzisz go?

HELLRIEGEL (*z Pippą u okna*). Tak, jak groźny bóg leśny wygląda! — broda i rzęsy jak sople, ręce przed siebie wyciągnął: i stoi tak bez ruchu, przymknięte oczy na wschód zwróciwszy!

PIPPA. Pierwsze, ranne promienie go oświetlają.

HELLRIEGEL. I znowu krzyczy!

PIPPA. Rozumiesz co on woła?

HELLRIEGEL. To brzmi... tak brzmi... jak... zwiastowanie.

(*Słuchać szczególny, długi, potężnie rozchodzący się głos starego Huhna, coś w rodzaju „jumalai“*).

HELLRIEGEL. Jak ju... jumalai brzmi to.

PIPPA. Jumalai? co to znaczy?

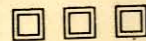
HELLRIEGEL. Zupełnie jasno, nie wiem tego, mała Pippo. Ale jak mi się zdaje, znaczy to: „Radość dla wszystkich!“.

(*Okrzyk „Jumalai“ silniej powraca; w izbie robi się jaśniej*).

PIPPA. Ty płaczesz, Michaś?

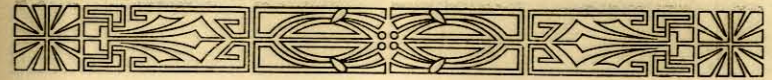
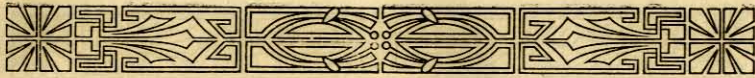
HELLRIEGEL. Chodź mała Pippo, łudzisz się!

(*Mocno spleceni wychodzą drzwiami. Scena się kończy, a muzyka, która poczęła się z światłem na palcach Michała, rozbrzmiewa coraz silniej, wschód zimowego słońca oddając*).





AKT III.



AKT III.

Wnętrze zaśnieżonej budy na przełęczy górskiej. Nizki, wielki, przyjemny pokój z belkowym sufitem i takimiż ścianami. Trzy małe, dobrze zaopatrzone okienka podwójne w lewej ścianie; wzdłuż nich biegnie przymocowana ławka. W ścianie tylnej małe drzwi, prowadzące do sieni. Pstro malowane, chłopskie szafy zajmują ścianę lewą. Czyste poustawiane naczynia kuchenne i barwne talerze przyozdabiają otwartą u góry połowę jednej szafy. Na prawo od drzwi zbyteczny, wielki piec kaflowy z ławą. Ogień trzaska wesoło. Ławka piecowa przechodzi na prawą ścianę, umocowana do niej. W ten sposób utworzonym kącie, stoi ciężki, brunatny, wielki stół chłopski, nad nim lampa, wokoło pstro malowane chłopskie stołki. Koło drzwi powoli porusza się mosiężna penduła wielkiego, szwarcwaldzkiego zegara. Wnętrze o charakterze podobnym mieszkaniom lepiej sytuowanych górali. Niezwykłym jest tylko stół z pulpitem do czytania, na którym leży właśnie otwarta książka; po stole rozrzucone książki i nieznanne przyrządy, między nimi lampa pomiędzy dwoma kulami, hutnicza lampa z szklanymi rurkami, stare flaszki apteczne, wypchany zimorodek i t. d. prócz tego pewna ilość przyrządów do wykopywania, kamienne noże, młotki, końce dzid z epoki kamiennej na ścianach i zbiór młotów do geologicznych celów. Niezwykłym jest także misterny model wenecjańskiej gondoli, stojący na podpórcie przy pulpicie, jak również inne, starożytne, średniowieczne i nowożytne modele okrętów morskich i rzecznych, które zwisają z pulpitu—prócz tego wielka luneta na statywie. Na podłodze leżą szlachetne orientalne dywany. Okienka pokoju błyszczą w świetle zachodzącego słońca, które przedmioty izby rozjarza i wyfantastywnia. W prawej ścianie drzwi.



JONATAN, *gluchy, szorstki, około 30-letni drab, obmywa talerze w drewnianym cebrażku, stojącym na dwóch małych stolikach blisko pieca.*

Ktoś kilka razy puka do drzwi. Gluchy nie odwraca się; drzwi się otwierają — ukazują się DYREKTOR w górskim stroju, na ramieniu strzelba, pod pachami śniegowce.

DYREKTOR. Jonatan! jest twój pan w domu? Jonatan! odpowiadaże łotrze! Dyabli by was nadali, gdyby go tak w domu nie było! Co? Może poszedł zbierać kwiecie śniegowce? albo łapie w sieć motyla białe mole? brrr! psie zimno na polu! Jonatan!

JONATAN, *odwraca się, załamuje ręce z radości i ze strachu, obciera je w swój niebieski fartuch i całuje prawą dłoń dyrektora.*

DYREKTOR. Stary w domu, Jonatan? stary Wann? — (*Jonatan mamroce i robi gesty*)—Durna kanalio wyraźniej się tłumacz! — (*Jonatan coraz więcej się wysila, pokazuje boleśnie przez okno, znak, że pan jego wyszedł, biegnie do zegara, pokazuje palcem na nim trzy kwadransy na piątą t. z., że pan jego o wpół do piątej chciał wrócić, wzrusza ramionami zdumiony nad tem, że jeszcze nie wrócił, podbiega do szyby, przyklada nos do niej, przysłania oczy ręką i rozgląda się po okolicy*) No dobrze już skapowałem! wyszedł i zaraz tu wrócił! właściwie miał już wrócić! (*Gluchy naśladuje psa: „wau“, „wau“, „wau“*) Aha, wziął ze sobą dwa psy bernardyńskie. Zrozumiałem! ładnie! chciał dla siebie i psów swoich trochę emocyi! — Oczyść mię, drabie, zostanę tu! (*Po-*



nieważ wygląda jak bałwan śnieżny, wchodzi do sieni, otrzepuje się, przyczem gluchy skrzętnie mu pomaga.)

Podczas tego wchodzi prawie bez szmeru prawymi drzwiami, stary, poważny mężczyzna. Wysoki, szeroko barczysty, wielka głowa jego okolona długim, spadającym włosiem siwym. Jego wygolona, surowa twarz, pokryta prawie zmarszczkami. Krzaczaste brwi ocieniają wielkie, wyraziste oczy. Wygląda na 90 lub więcej lat, ale tak, jakby starość spotęgowała w nim siłę, piękność i młodość. Ubranie jego składa się z kity sięgającego kolan, z grubego płótna, z szerokimi rękawami. Nosi okrągłe, z czerwonej wełny buty sznurowane i skórzany pas na biodrach. Na pasie, przy wejściu jego spoczywa właśnie wielka, szlachetnej formy prawa ręka. Jest to Wann.

Wann zwraca baczny, śmiejący się wzrok swój na sieni, przechodzi wolno przez pokój i siada za stołem przy pulpicie. Podpiera się, palcami w zamyśleniu rozgarniając włosy, które białymi lokami padają na otwarte foliały, na których oczy się jego zatrzymały. Otrząsnawszy się już ze śniegu, wchodzi Dyrektor. Początkowo nie widzi Wanna.

DYREKTOR. O, wy gazelle! — słodkie bliźniaki! —

Tak! — a no to możemy się tymczasowo możliwie najwygodniej u starego franta rozgościć!

WANN. I ja tak myślę! a prócz tego możemy się napić czarnego falerna!

DYREKTOR (*zaskoczony*). Do dyabła! a skąd się tu pan tak nagle wziął?

WANN (*z uśmiechem*). Ba, gdyby to tak kto mógł wiedzieć, dyrektorze! — Witajcie mi szczerze! * — Jonatan!

DYREKTOR. Tak, słusznie! zielono i niebiesko pewnie zrobi się temu, kto przez cztery godziny zia-

* Po niemiecku: „Willkommen im Grünen“ — tem się też tłumaczy sens następujących słów Dyrektora.



jał się błakaniem! miałem czarne okulary! ale mimo to, zdaje mi się mój organ widzenia stawem, na dno którego upadłem, a po powierzchni którego nieustannie pstre wyspy przepływają.

WANN. A panby się chętnie pewno na jedną z nich chciał wydostać? mam może poszukać wędki?

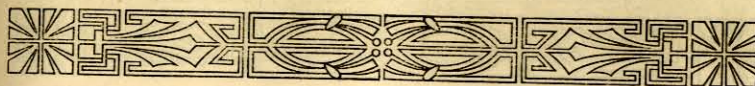
DYREKTOR. Jaktó?

WANN. Ot, tak mi coś przeleciało przez głowę — W każdym razie jest pan mistrzem w gonieniu na łyżwach śnieżnych i to tak odważnym jak n. p. jeleń w listopadzie lub krogulec wtedy, kiedy łup goni, ślepy w swej myśliwskiej zajadłości i głuchy na wszystko; wpadło mi to porównanie kiedyś pana widział jak ze szczytu, ptakowi podobny się ześlizgiwał! A ponieważ jesteś pan człowiekiem, wpadłem na trzecią ludzką możliwość: powinienby pan jeszcze wszystko, cokolwiek w panu jest chorowitego, wypocić.

DYREKTOR. Naco to człowiek wszystko nie wpada jeśli nie ma niczego na świecie do czynienia, jak tylko zimą i latem o każdej porze, po mlecznych drogach się błakać!

WANN (*śmiejąc się*). Dodaję jeszcze, że często na moim drewnianym koniu zajeżdżam aż pod chmury, wskutek więc tegoż cokolwiek stałem się dalekowiedzem: widzę jednakże niegorzej i z bliska — Naprzykład to kochane dziecko z Murano, i ten piękny kryształ z czarnem winem, które na pocieszenie Jonatan właśnie nam przynosi.

JONATAN (*wniósł dwie stare, szlachetne, wielkie, wenecjańskie szklaneczki i szlifowaną karafkę z wi-*



nem na wielkiej, srebrnej tacy i stawia je na stole. Wann nalewa sam ostrożnie. Obaj biorą szklanki w ręce i podnoszą je nabożnie w stronę jeszcze słabo jarzących się szyb).

DYREKTOR. Montes chrysocreas fecerunt nos dominos! Wiecie Wann, jak mi się pan czasem wydaje? tak jak jeden z tych powiastkowych poszukiwaczy złota-zuchwałców, których ta hołota obdarta, zrejąca kwaśną kapustę, grubiańska i świńską szczeciłą obrośnięta, w górach naszych Wałami nazywa.

WANN. Tak?! niby dlaczego, najlepszy dyrektorze?

DYREKTOR. Jak ten, który w Wenecyi na wód głębinie arabski pałac z jaspisu i złota posiada, a jednak u nas się osiedlił i udaje jakby trzech zliczyć nie umiał, okruszynami spleśniałego chleba się żywiąc.

WANN. Salute! napijmy się na to, najdroższy dyrektorze!

(*Piją do siebie, śmiejąc się serdecznie.*)

WANN. A wicc za takiego mię pan uważa! tylko co do tych okruszyn to odrzucmy to, bo nie jestem pewny czy przypadkiem pod tem pochlebstwem nie należy się dorozumiewać odrobiny prawdy! Gdybym nawet akuratnie i nie był jednym z tych bajkowo-potężnych wenecjańskich człowieczków, którzy drwałom i innym fantantom czasem się okazują i którzy złote czeluście, groty i zamki podziemne zamieszkują, to nie nie skłamię, jeśli powiem, że góry te rzeczywiście pod pewnym warunkiem są dla mnie złoto-dajne.

DYREKTOR. Ach, któżby tak potrafił być cicho za-



dowolonym w śniegu i lodzie zrezygnowanie szczęśliwym, jak ty, mistrzu Wannie! Bez trosk o chleb powszedni, bez kłopotów i żony — wysoko ponad wszystkimi głupstwami, które każdego z nas o ból głowy przyprowadzają, zatopiony tak w głębokich studyach, że pni leśnych nie widzisz: to rzeczywiście wymarzone chyba położenie!

WANN. Widzę, że moja charakterystyka w pańskiej dyrektorskiej duszy czasem się jeszcze waha. Najpierw wydaję się panu mistyczną postacią, która pałac w Wenecyi posiada, to znowu starym majorem na pensyi, który bezplanowo resztę starości przejada.

DYREKTOR. Tak, niesłuchanie właśnie jest trudno wyrobić sobie o panu właściwy sąd!

WANN. Jonatan, pozaświecaj lampy! być może trochę lepiej przejrzy mię pan przy świetle!

(Chwila milczenia — niepokój dyrektora wzrasta)

DYREKTOR. Właściwie naco pan rok rocznie tu czeka, Wannie?

WANN. Na różne rzeczy!

DYREKTOR. No, na przykład?

WANN. Na wszystko, co kompas przynosi na chmury, wonie, kryształy z lodu! na bezgłośny, krzyżowy krzyk błyskawic! na mały płomień, co z grubego bucha! na śpiewy konających w wodnych topielach! na błogosławiony mój koniec! na nowy początek i wtopienie się w inne muzykalno-kosmiczne braterstwo.

DYREKTOR. A nie jest panu czasem, tak samemu ze sobą, nudno?



WANN. Jakto? Se tu sarei solo tu sarei tutto tuo.

A nuda jest tam, gdzie Boga niema!

DYREKTOR. Toby mi nie wystarczało, mistrzu! Ja zawsze pragnę zewnętrznego powabu.

WANN. Przecież to, co rozkosz największej czci w ciągłym wahaniu utrzymuje, jest nią właśnie.

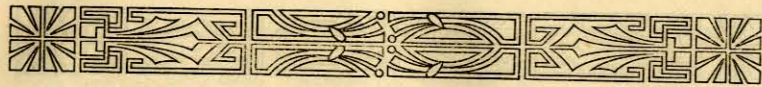
DYREKTOR. Tak, tak, już dobrze! tymczasem zaś ja, pominawszy lata moje, muszę zawsze pragnąć czegoś młodego, wesołego i pełnego życia.

WANN. To tak na przykład, jak te oto chrząszczyki majowe. Przez całą zimę mam je tu u siebie na stole, dla towarzystwa, pomiędzy wszelkiego rodzaju zabawkami. Niechno się pan przypatrzy takiemu stworzonku. Jeśli to robię, słyszę wyraźnie jak drży przestworze! Spotka to pana, to pan ogłuchnie.

DYREKTOR. Tego zwrotu to już zupełnie nie rozumię

WANN. Zupełnie proste: to oto zwierzątko na moim palcu nie wyczuwa ani mnie ani pana. A przecież jesteśmy tutaj i wkoło nas świat, ograniczony w swoim obrębie, a niedający się uchwycić. Nasz świat leży poza jego zmysłami. Proszę pamiętać, co po tamtej stronie naszego świata leży! — Czy mogłoby panu, na przykład oko powiedzieć, jak szmerze strumyk, lub trzaska chmura? że tak jest nie dowiedziałby się pan nigdy, gdyby pan zmysłu słuchu nie miał. A gdyby pan znowu, najczujniejszy choćby słuch posiadał: to przecież nigdyby pan nie poznał wspaniałych na firmamencie rozbrasków!

DYREKTOR. Dziękuję za wykład! posłucham może



innym razem; dziś jakoś nie mam cierpliwości.

Mam co innego na myśli..

WANN (*wznosząc szklankę*). Pewnie kochane dziecko z Murano!

DYREKTOR. Niech będzie! ale skąd pan wie o tem?

WANN. Nacóż ma się tysiąc metrów wysokie, średniowieczno-niemieckie obserwatorium? nacóż ma się lunetę z własnoręcznie zrobioną soczewką w środku? no i czyżby nie można czasem spoglądać na ten stary, podksiężycowy świat i dzieci jego na palcach zobaczyć? Wreszcie jeśli but nie uciska: nie daje się go do szewca!

DYREKTOR. Dobrze! jeśli pan już jest rzeczywiście takim piekielnym fizykiem, — pańskie szewstwo tymczasowo na bok! dodaję tylko, że but na wielu miejscach mię uciska!—ale proszę mi łaskawie powieścić: co to dzisiaj nocą stało się w szynku starego Wendego?

WANN. Pewnego włocha przebito!

DYREKTOR. Za czem pan patrzy w książce?

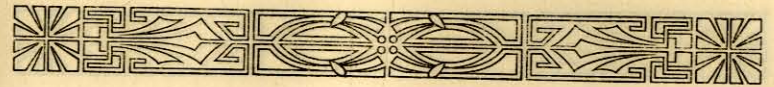
WANN. Wreszcie przecież przyda się registrarator!

DYREKTOR. A jest coś o tem wyraźniej zanotowane?

WANN. Przypadkowo: nie.

DYREKTOR. A więc, przecież na nie pańska luneta i cenne foliały! — Nie mogę sobie tego darować! — Dlaczego lepiej nie uważałem! Za wszystko w świecie chciałem ją od tego psa wydostać!.. Tak to czasem się przydarza, jeśli się jest rzeczywiście zanadto uczuciowym!

(Zrywa się i przechodzi się po pokoju; wreszcie staje



przed lunetą, kręci ją na statywie i wysuwa ją po kolei w stronę różnych, ciemnych jak noc okien. — Wycie wichru).

DYREKTOR. Wściec się można, jak tu u pana ciągle się ma uczucie kajuty okrętowej! podczas burzy na wielkim oceanie!

WANN. A czy to nie wyraża nalepiej położenia, do którego życie nas przystosowało?

DYREKTOR. Być może! ale frazesami tego rodzaju nie da się nic zacząć. A mojej niezwykłej troski to nie rozpędza! Lepiejby było, żeby tak przez pańską lunetę można coś zobaczyć! niestety widzę, że to też jest uludą fałszywej rzeczywistości.

WANN. Przecie noc ciemna, że oko wykol, dyrektorze!

DYREKTOR. Podczas dnia nie potrzebuję przecież czegoś podobnego!

(Odstępuje od lunety, przechadza się tam i napowrót, wreszcie staje przed Wannem).

WANN. A więc otwarcie: kogo pan szuka?

DYREKTOR. Jej.

WANN. A zatem zginęła panu?

DYREKTOR. Gonię za nią i znaleźć jej nie mogę!—

Dosyć już mam tej głupoty, mistrzu Wannie! wyciągnij cierni, jeśli jesteś takim zwaryowanym konowalem! nie mogę żyć, ani też umrzeć nie mogę. Weź skalpel do ręki i szukaj zatrutego grotu! który gdzieś w ciele siedzi i każdą minutą coraz to głębiej się wtapia. Dosyć mam już trwogi i niepokoju, złych nocy i złego apetytu; raczej: wolę zostać papieskim śpiewakiem, tylko wyzbyć się choć na minutę tej rozpaczliwej żądy, która mię trapi.



(Ciężko oddychając upada na stołek i ociera pot z czoła. Wann podnosi się z pewnem ociąganiem się).

WANN. I naprawdę myśli pan poddać się kuracyi?

Chce się pan rzeczywiście rękom moim powierzyć?

DYREKTOR. Naturalnie! nacóżbym tu przychodził!?

WANN. I cicho się zachowywać, jeśli będzie koniecznem, to złe nasienie ze wszystkim, aż do zarodka rozgałęzionego już korzenia, z duszy jednym szarpnięciem wyrwać?

DYREKTOR. A jeśli to jest końska kuracya!

WANN. Teraz, proszę uprzejmie uważać, kochany dyrektorze. — Teraz klaskam po raz pierwszy w ręce. — (*Czyni to*) Gdyby starzec niczego więcej nie umiał ponad to co umie młody człowiek, czyż to byłoby treścią starości? — (*Wyciąga długą, jedwabną chusteczkę*). — Teraz po raz drugi klaskam! — (*Czyni to.*) — Następnie wiąże sobie tą chustką usta, podobnie, jak to Pers przy modlitwie robi...

DYREKTOR (*niecierpliwie*). A potem wyniosę się, gdyż widzę, że kpicie ze mnie mistrzu Wannie!

WANN... Potem: incipit vita nova, dyrektorze! — (*Przesuwa chustkę przed ustami i silnie klaska w ręce.*)

(Natychmiast wpada, jak czarem wywołana, Pippa, półzmarznięta, ciężko oddychając; mglisty obłok wtacza się za nią).

PIPPA (*z całej siły, ochryple krzycząc*). Ratunku, ratunku! — Ludzie pomóżcie! trzydzieści stąd kroków Michaś w śniegu umiera! leży i dławi się! nie może się podnieść! dajcie światła! on zmarznie! nie



może iść dalej! taka okropna noc! chodźcie ze mną chodźcie ze mną!

DYREKTOR (*w bezgranicznem osłupieniu wpatruje się przerażony, raz w Pippę, raz znowu w gospodarza*). — Co! chybaś ty szatanem, Wann?

WANN. Zaczyna się kuracya. Nie nużyć się zastawianiem — Lina! Przywiąż tu silnie jeden koniec, Jonatan!

(Pippa uchwyciła się ręki Wanna i ciągnie go na pole. Dyrektor postępuje za nim, jak ogłuszony. Pokój pozostaje pusty, burza wpada przez drzwi od korytarza, wpędzając chmury śniegowe. Nagle w drzwiach ukazuje się głowa staro Huhna. Przekonawszy się, że w pokoju nikogo niema, wchodzi. Gapi się na rzeczy w pokoju, a kiedy daje się słyszeć głos powracającego Wanna ukrywa się za piecem).

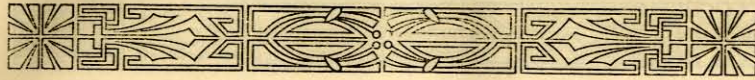
WANN (*w drzwiach, ciągnąc za sobą na linie resztę*). Opatrzeć drzwi dobrze, Jonatan! —

(Ukazuje się półzmarznięty Michał Hellriegel podtrzymywany przez Wanna i dyrektora. Wnoszą go do pokoju i układają na ławce koło pieca; Pippa zdejmuje mu obuwie, dyrektor zaś rozciera mu piersi).

WANN (*do Jonatana*). Garnuszek gorącej, czarnej kawy z koniakiem!

DYREKTOR. Do pioruna! pysk może człowiekowi zupełnie przymarznąć! — na dworze szczypie jak igły lub rzeźnickie noże!

WANN. Tak rzeczywiście! Wie się przynajmniej, jeśli się w tym czarnym, hadesowym huraganie oddechu złapać nie może, że jest się bojownikiem, w dodatku bardzo oddalonym od raju światła. — Tylko jedna iskierka z tego, drogę odnalazła! — dzielnieś się mała spisała!



PIPPA. To Michaś, signore, Michaś, nie ja!

WANN. No i jakżeż panu, panie dyrektorze?

DYREKTOR. Kim pan jesteś, tego nie wiem! ale pozatem wściekle jestem zadowolony! Wreszcie to tak samo jest cudowne, jeśli mucha na kołnierzu od koszuli się załatwia, jak te historie, który pan lub ktokolwiek inny robi.

WANN. Zamiast jednego, stało się teraz dwoje ludzi z pana!

DYREKTOR. Dziękuję! tak daleko mózg mój jeszcze sięga! — Moje przecucia tyczyły się wprawdzie tylko Huhna; więc i cóż? zamiast niego, jest ten głuptas! Jonatan, dawać moje śniegowce!

WANN. Już precz?

DYREKTOR. Dwóch to dosyć. Trzeci już zbyteczny.

— Swoją drogą, dla mnie to nowością, żeby wspaniałomyślność najwyższej potencji egzekwować, ale na skutek czasu nie jest to przecież właściwy zawód! dla mnie! — czy nie tak myślisz mała Pippo?

PIPPA (*cicho płacząc obciera włosami swoimi nogi Michasia*): Cosa, signore?

DYREKTOR. Przecież mię znasz? — (*Pippa przeczy główką*) — Czyś mię przypadkowo gdzie nie widziała? — (*Pippa znowu przeczy*). — Czy nie przynosił ci kiedy dobry wuj przez kilka lat łakoci, koralu i jedwabnych wstążeczek? (*Pippa kręci główką na znak przeczenia*) — Bravo! tak też sobie i myślałem! — A nie miałaś ty ojca, który potem umarł? — (*Pippa przeczy*)

WANN. Uważa pan co, dyrektorze?

DYREKTOR. I ja czy co uważam?



WANN. Z jakim się tu starym, potężnym czarownikiem ma do czynienia?

DYREKTOR. Rozumie się, całkiem słusznie! Rozkoszna, złudna igraszka w świetle! — (*Trzecim palcem pukając w czoło Helriegela*) Ty, jeśli się przebudzisz, to zapukaj potem do nieba, może ci kochany Pan Bóg powie: proszę! — Adie! a rozetrzyjcie na nowo do życia Michała! (*W drzwiach*) Życzę prócz tego dobrego apetytu! pomogło! jestem uzdrowiony! — Juhu! Kostusiu, grób otwórz!

(Słychać jak drzwi od sieni się otwierają — na polu kilka razy rozbrzmiewa „juhu“ dyrektora).

HELLRIEGEL (*otwiera oczy, wyskakuje i również woła*): Juhu! — juhu, mamy więc małą Pippę!

WANN (*zdumiony, ucieszony cofa się*) Aj! co to, jeśli można zapytać mamy?

HELLRIEGEL. Ach tak, mała Pippo, nie jesteśmy sami! Powiedzno skąd się tu wziął tak nagle ten stary?

PIPPA (*trwożliwie cicho*): Ach, nie miałam już innej rady!

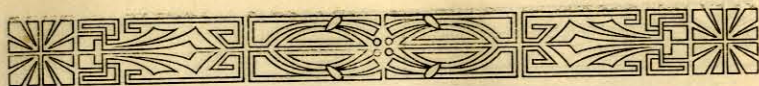
HELLRIEGEL. Ale wspaniale było, co? nie lubisz tak w burzę i wiatr na szczyt się drapać? wesoło naprzód, ręka w rękę?

WANN. A gdzież to idziecie, jeśli spytać wolno?

HELLRIEGEL. Mój stary, któż widział być takim ciekawskim? A czy ja ci się pytam, czemu ty tu na szczycie gujiesz i ogrzewasz się, pieczone jabłka jedząc? —

WANN. No masz szalawitę drogie dziecię!

HELLRIEGEL. Iść, ciągle iść, a o celu nie myśleć!



W przeciwnym razie wydaje się za dalekim lub za blizkim. — Swoją drogą, kości mi trzeszczą.

PIPPA (*bojaźliwie*): Michaś, czyż nie powinniśmy temu staremu, serdecznemu człowiekowi choć trochę być wdzięczni? sądzisz, że nie?

HELLRIEGEL. Jakto?

PIPPA. Uratował nas przecież od zmarznięcia!

HELLRIEGEL. Od zmarznięcia? to teraz Michała nic nie obchodzi! — Właśnie gdybyśmy byli ominęli to schronisko, tobyśmy już teraz byli dobre dziesięć mil dalej. Pomyśl Pippa, dziesięć mil bliżej celu! Kto taki cudowny węzełek posiada i niedwuznaczny znak, że się jest do czegoś powołanym... co najmniej do wyszukania szkła plastycznego!

WANN. Świejiesz się mała: wierzysz mu? (*Pippa patrzy z ufnością na Wanna i potakuje przekonywująco główką*). Tak! w każdym razie mówi tak, że wzbudza zaufanie! — No, pogwarcie sobie, nie krępuję was! — (*Siada za stołem z książkami, obserwując jednak pilnie oboje, przerzuca przytem kartki wielkiej księgi*).

PIPPA (*tajemniczo*): Oglądnijno się, Michaś, gdzie my jesteśmy!

HELLRIEGEL. W zupełnie stosownem miejscu, jak mi właśnie na myśl przychodził! Najzupełniej dobrze nie nas tu zaciągnęła. Nie uważałaś jak nieustannie naprzód wyciągała nas z wichrzycy?

PIPPA. To była lina starego, Michaś!

HELLRIEGEL. I, nie jest to tak, jak sobie odrobin-ko, myślisz! Musieliśmy tak, czy tak dostać się tu wreszcie. Przedewszystkiem przy wspinaniu widzia-



łem ciągle światło. Gdybym nawet jednak tego światła nie widział, to i tak jakaś nieprzewyciężona siła we mnie ciągnęła mię pod ten uchronny dach!

PIPPA. Tak się cieszę, że jesteśmy już bezpieczni, a mimo to: ciągle się jeszcze troszeczkę boję!

HELLRIEGEL. Czego się boisz?

PIPPA. Nie wiem czego! — czy drzwi dobrze zamknięte?

WANN (*który to usłyszał*): Zamknięte dobrze!

PIPPA (*z prostotą, niewinnie do Wanna*): Ach, panie, wy jesteście dobrzy, widać to po was! ale mimo to... prawda, Michaś?... musimy iść dalej!

WANN. Czemu? jest kto na waszym tropie?

HELLRIEGEL. Nikt! żaden przynajmniej, któryby nas niepokoił! ale jeśli chcesz iść dalej, to chodź, mała Pippo!

WANN. Myślicie rzeczywiście, że was puszcze?

HELLRIEGEL. No naturalnie! a w jaki sposób by nas pan przytrzymał?

WANN. Nie zbywa mi na podobnych środkach! — Nie pytam cię, gdzie idziesz! gdzie się wybrałaś z tą małą, spłoszoną ćmą, która obok mojej lampy przeleciała! przez noc jednak zostanieie u mnie.

HELLRIEGEL (*staje szeroko w środku pokoju*): Hola, hola! tu jeszcze ktoś jest!

WANN. Kto wie, co ty za ptaszek jesteś! może dobrze jeden z takich, co to ciągną, aby się grabić nauczyć: w takim razie bądź cierpliwy, nauczysz się tego jeszcze!

HELLRIEGEL. Tylko swobodnie, wujaszku, dom je-



szcze stoil jak moja mamusia mówi. Czy my jednak pójdziemy, czy zostaniemy, to już nasza rzecz!

WANN. Wielkie rodzinki musisz mieć w sakwie!

HELLRIEGEL. Tak? wyglądam tak, jakbym je czywiście miał w tłumoczkul i to możliwe! pomyślno! — A więc, punktum! mój węzeł na to wygląda, mimo, że są w nim inne rzeczy niż jakieś tam głupie rodzinki. W razie więc nasadzenia czapki, idziemy! a ty możesz potem akuratnie tak nas zatrzymać, jak dwa łabędzie, które po barankowo-obłocznem niebie płynąc, jak dwa punkty dążą na południe.

WANN. Zgadzam się z tobą, młody chmuro-paniel— Jednak czasem udaje mi się, ptaszki takie do swego korytka złowić, jak to naprzykład zrobiłem z wami.

(Jonatan ustawia na stole, obok pieca, owoce południowe, gorące wino i ciastka).

HELLRIEGEL. Co, korytko! nie jesteśmy głodni, nie będziemy jedli! na coś podobnego nie da się Michał złapać!

WANN. Od kiedyż to?

HELLRIEGEL. Od... tego czasu jak w mule szczere złoto znalazł!

WANN (do Pippy). A ty?

PIPPA. Ja także nie jestem głodna!

WANN. Nie?

PIPPA (cicho do Michała), Ty masz przecie twój stoliczek „nakryj się“!

WANN. A więc nie chcecie mi zrobić tego zaszczytu?

HELLRIEGEL. Widzę, że ty jesteś znowu jednym z tych, co to najmniejszego pojęcia nie mają, kto



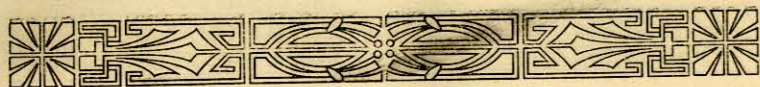
to jest Michał Hellriegel. Co mię to obchodzi! i coby to pomogło, gdybym ci nawet wytłumaczył. Wiesz wprawdzie, że Michał Archanioł jest bohaterem i pogromcą smoków: w to nie wątpisz. Jeśli powiem ci tylko dalej i dziesięciokrotnie, że od wczoraj cud za cudem przeżyłem, zwycięsko z przygód wyszedłszy, to zaraz rzekniesz: czemu nie? to jest ten, który gra na okarynie. — Potrzebowałbym ci tylko o moim tłumoczkul opowiedzieć...

WANN. O, Michał, drogie, boże dziecię, gdybym to mógł przeczuć, że to ty jesteś, ty, którego dziś o świcie przez lunetę śledziłem, przynęcając cię do mojej duszy czary biesiadnej, pełnej gorącej krwi: chatę byłbym odświętnie przystroił i ciebie — ażebyś poznał, że i ja coś w rodzaju takiego muzykusa jestem — ciebie, kwintetami i różami podjął! — Bądź swobodny Michał, upamiętaj się! Radzę ci, zjedz cośkolwiek! Tą strawą niebieską, której możesz być pełny, nasycić się dusza tylko może, a nie ciało takiego draba długiego, jakim ty jesteś!

HELLRIEGEL (przystępuje do stołu, bierze jeden talerz, je gorliwie, cicho, ze złością szepcząc do Pippy). Wstrętny pysk, nie mogę go znieść! żeby się tylko jako stąd wy dostać...

WANN. Jedz, jedz Michał, nie rezonuj! nie pomoże tu żadna kłótnia z Panem Bogiem, ponieważ musisz oddychać, jeść i połykać! potem tem lżej się płasza!

PIPPA (przysunęła się do Wanna, podczas kiedy Michał zatopiony jest w jedzeniu i szepce ogromnie rozradowana). Tak się cieszę, że Michał je!



WANN. To lunatyk, nie budź go więc! w przeciwnym razie upuści widelec i nóż, tysiąc metrów powietrzem przeleci i połamie sobie gdziekolwiek szyję i nogi.

(Bierze ostrożnie w ręce ze stołu model gondoli wenecjańskiej).

WANN. Możesz mi powiedzieć, co to jest?

PIPPA. Nie.

WANN. Pomyśl! czy nigdy nie przesunęła ci się w śnie taka łódź czarna?

PIPPA (*prędko*). Tak, dawniej, bardzo dawno, przypominam sobie!

WANN. A czy wiesz, jakie to właściwie potężne jest narzędzie?

PIPPA (*w zamyśleniu*). Wiem tylko, że raz w noc, pomiędzy domami w takiej barce płynęłam.

WANN. Tak jest! — (*Do Michała*). — No, przezemnie możesz i ty nadstawić uszu, abyś wreszcie przyszedł do przekonania, że tu ktoś taki mieszka, któremu a-eronautyka nie jest obcą i który na niejednym się zna.

HELLRIEGEL. No, to od razu z tem wyjechać!

WANN. A więc, to małe czółenko, stworzyło bajkowe miasto między dwoma niebami, to miasto, z którego ziemi serca ty powstałeś. — Tyś bowiem z bajki powstał i w bajce koniec chcesz znaleźć.

HELLRIEGEL. Hop! o, coś się przesunęło! Hop! znowu inny obraz! szczur! śledź solony, dziewczynka! cud! ciągle, nieustannie! o, okaryna! ciągle hop, hop, hop! — O ile, od czasu jak od matki w las uciekłem, z wszelkiego rodzaju hokuspokusami się



otrząsałem i z radością biegłem na nie, to jednak teraz chwilami zimny pot na czoło mi występuje. (*W zamyśleniu, widelec i nóż w ręce trzymając, wpija się w coś wzrokiem przed siebie*). A więc on zna to miasto, do którego my iść chcemy.

WANN. Pewnie, znam je i — o ile macie do mnie zaufanie! — mógłbym cośkolwiek zrobić, dać wam radę i wskazać wam drogę. Wreszcie, kto wie, może i coś więcej ponadto! — Bo, otwarcie powiedziawszy, jeśli się was dokładnie obserwuje, to przecież może mieć ktoś wątpliwość, czy wy rzeczywiście tacy pewni, wysoko, świadomi celu przez niebo szybujecie! Macie coś w sobie — jakbym powiedział — coś z wędrówki ciągnących ptaków, które bezradnie, gdzieś na północnym się zbłąkały biegunie. Jak się to mówi, na łaskę i niełaskę — Michał nie przerywaj! nie gorączkuj się! Pewnie nie chcesz powiedzieć, żeś wątły i znudzony i przyznać się do tego nieokreślonego strachu, przerażenia, które was jeszcze wstrząsa mimo, że po części już przecież uniknęliście grozy ucieczki zimową nocą.

HELLRIEGEL. Tylko spokojnie Michał! o to chodzi — Idzie mi tylko o to, czy drzwi dostatecznie są opatrzone i zaryglowane? — Jeśli tak, to w każdym razie nie mamy się czego obawiać! — (*Cofa się*) — Przezemnie! — być może, że jesteście czemś nadzwyczajnym! — będziemy tak, czy tak jednak, w pięknym mieście wody i sztuki szklanej, gdzie woda w szklane kwiaty się rozwija, w mieście, którego każdy mostek, uliczkę każdą i progi w najranniejszych snach moich marzyłem... w tem



mieście, tak czy tak jutro po południu, będziemy pomarańcze jedli, — no ale, przezemnie: jak daleko jest jeszcze do niego?

WANN. To zależy od tego, Michale, jak się podróżuje.

HELLRIEGEL. Tak w praktyczny sposób, chciałbym powiedzieć.

WANN (*z uśmiechem*). No to w takim razie prawdopodobnie nigdy nie dojdiesz. Ale, jeśli tym okręcikiem, którym pierwsi osadnicy po lagunach jeździli, a z którego, jak z pływającej, dymnej amfory, fantastyczny dym: kunsztowny sen Wenecyi się wyklebił, z którego pyszne, kamienne miasto, jak kryształ z ługu, powstało... tak, jeśli tym stateczkiem popłyniesz, zapomocą wczarowanego ci cudu, to możesz naraz wszystko zobaczyć, wszystko, za czem spragniona twa wyrwa się dusza.

HELLRIEGEL. Stój! chcę wprzód cichą, powrotną w sobie rozwałkę wszczepić. — Dajcie mi to cacko raz jeszcze do ręki! — (*Bierze i trzyma w rękach okręciak*). — Tak? w tej łupinie mam płynąć? — Ach! co to za mędrzec ten stary ojciec gospody — a co za osioł ten Michał! — Najpierw w jaki sposób się tu wsiada? — O, proszę! nie jestem wcale zarłotomcą! teraz mi się historia wyjaśnia: boję się tego, żeby się w tym statku nie zabłąkać! Jesliby tak miało być rzeczywiście, to wezmę przecie moje dwie siostry, moich sześciu starszych braci, wuja mojego i resztę moich krewnych, którzy, Bogu dzięki, wszyscy są krawcami.

WANN. Odważnie, Michał! dla tego, kto port wymiął, powrotu już niema: na przebój fal wielkim,



ić musi. A ty — (*Do Pippy*) — czarowny znak daj jego zagłom!

HELLRIEGEL. To mi się podoba, będzie to przepyszna jazda.

WANN (*wodząc palcem Pippy po brzegu wenezyjskiej szklanki*). „Mknij, mknij ty mały cud-okręciku!“ powtarzaj.

PIPPA. „Mknij, mknij, ty mały cud-okręciku“.

WANN. „Przez mroźną noc, przez śnieg i przez lód,
„Z kręgu miotanej burzą chaty“ —

PIPPA (*śmiejąc się*): „Przez mroźną noc, przez śnieg i przez lód, Z kręgu miotanej burzą chaty“ —

WANN. „Mknij, mknij ty mały cud-okręciku“.

(*Ze szklanki, brzeg której Pippa pociera, delikatny się ton wydobywa, który coraz bardziej się wzmacnia, aż tony złączą się w harmonię. spływającą w krótką, ale potężną burzę muzyczną, która słabnie i milknie powoli. Michał z oczami otwartymi, popada w hipnotyczny sen*).

WANN. Zwałem chmur teraz Michał sam pędzi,
Głuchą jest podróż, bo w tych regionach
Wszelki mrze dźwięk, oporu nie mając,
Gdzie jesteś?

HELLRIEGEL. Przez zorzę poranną tak cudnie płynę!

WANN. Co wszystko widzisz?

HELLRIEGEL. O, więcej widziałem,
Zobaczyć co kiedy może ludzka dusza,
A bieg mój ponad hiacyntowem morzem!

WANN. Twój statek teraz opada niżej! — czy nie?

HELLRIEGEL. Nie wiem. Zrąb tylko gór się przedemną wznosi,

Potwornie się spiętrza cały świat wokoło.

WANN. A teraz?



HELLRIEGEL. Teraz, tak bezszelestnie się opuściłem

I poprzez ogrody Łódź ma cicho sunie.

WANN. Ogrodami zwiesz to wszystko, co widzisz?

HELLRIEGEL. Tak, tylko z kamienia.

W niebieskich falach kwiaty lśnią marmurowe

A białe słupy drżą w toni smaragdowej.

WANN. Sterniku stanij — a ty gdzie jesteś, powiedz!

HELLRIEGEL. Na progach moje stopy i na kobiercach

A sala z koralu przyjmuje mnie cicho!

Zaś w złotą bramę teraz po trzykroć pukam!

WANN. A jakie na młotku odczytujesz słowa?

HELLRIEGEL. Montes chrysocreos fecerunt nos dominos!

WANN. A co się dzieje skoro odgłos stuku zamilknie?

(Michał Hellriegel nie odpowiada i zaczyna coraz więcej jęczeć.)

PIPPA. Zbudź go, ach zbudź, dobry, stary, mądry człeczko!

WANN (*Wyjmując Michałowi z rąk okręciak*):

Dosyć! w zgubioną chatę na nowo wróc,

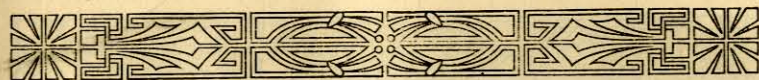
Do tych wygnańców zawiaanych śnieżycą,

Podróży złoty strząśnij z siebie czar!

W pierś naszą czekaniem osłabłą już tak.

(Michał Hellriegel przebudza się, ogląda się przerażony naokoło, starając się opanować.)

HELLRIEGEL. Halo! — czemuż to ten stary, dyabelski, mrukliwy wół Huhn przed furką stoi, grozi i zastępuje mi drogę? Pippa! włóżże przecie złoty klucz w bramę! wymknę się bocznymi drzwiami! — Co? — Pippa! — Do katala! nie! gdzie ja właściwie jestem? — Daruj, stary! nie trzeba kłać, jeśli się coś



podobnego raz... jeśli się wreszcie jest wystrychniętym na dudka! — W co to za wymarzony wpadło się futerał? — Do pioruna! co się tu dzieje? — Co jest Pippa? — Masz jeszcze przy sobie złoty klucz? — Daj, daj go tu! zaraz otworzymy!

PIPPA. Przebudźże się, Michaś! ty marzysz jeszcze! opamiętaj się

HELLRIEGEL. W takim razie wolę być raczej marzyicielem, niż w taki podły sposób się przebudzić, czternaście mil łbem na dół spadłszy. Nie można już nawet ręki przed nosem zobaczyć! Co to ma znaczyć? Kto to kciukiem gardło mi ugniata? Kto przytłacza mi górami trwogi szczęście mojej piersi?

WANN. Tylko bez obawy, bez żadnej obawy, najlepszy Michale! wszystko w tym domu jest w mojej mocy! i niema tu niczego, coby ci szkodzić mogło.

HELLRIEGEL. Ach, mistrzu, czemuż tak prędko przywołujesz mię napowrót do tej jaskini grobowej? czemu nie wpuszcza mię to stare, dzikie obszarpane zwierzę do mojego zaczarowanego zamku wodnego? to było to, czego zawsze sobie życzyłem! to było to właśnie! najdokładniej rozpoznałem to, o czym, małym chłopcem będąc, przy ognisku marzyłem! a Pippa patrzyła oknem! a woda grała, jak dźwięczne tony fletni pod nią, wokoło murów! — Pozwól nam raz jeszcze podróż tę odbyć! daj nam twoją czarowną gondolkę, a ja jestem gotowy... ja, dam ci ten, tu, mój cały tobolek, z całą jego kosztowną zawartością, zato!

WANN. Nie, Michaś, jeszcze nie! bądź cierpliwy! jeszcześ z pierwszego nie ochłódl! Proszę was o-



boje, uciszcie wasze tłukące się serca i nie bójcie się. Bądźcie spokojni: jutro także dzień jeszcze będzie! W moim domu jest wiele izb gościnnych. zostańcie, proszę was, u mnie do jutra! — Przez jedną noc pozwólcie mi ugościć, pełną, młodą nadzieję! — Jutro, z Bogiem, dalej pojedziecie! Jonatan, zaprowadź przybyszów na górę!

HELLRIEGEL. My do siebie należymy i nie rozłączymy się!

WANN. Rozważże to, jeśli chcesz lub możesz, dzielny Michale, że ona zawsze snu cię pozbawia, ty zaś musisz pozostawić ją Bogu i losowi!

(Hellriegel objął Pippę. Obserwuje ją i widzi, że z wielkiego zmęczenia prawie jest bez zmysłów; potem taką rozspaną kładzie ją na ścienną ławkę).

HELLRIEGEL. A za nią mi ręczysz?

WANN. Słowem i ręką!

HELLRIEGEL (*całuje Pippę w czoło*). A więc do jutra!

WANN. Śpij spokojnie! dobrej nocy! — i śnij o domu na dalekim Adryatyku, który nowych, młodych gości wyczekuje.

(Jonatan stoi w drzwiach ze światłem, Hellriegel porwy się i znika z nim w drzwiach od kurytarza. — Wann przypatruje się chwilę głęboko zamyślony Pippie; potem mówi):

WANN.

W moją sadybę zimową Cud się zakradł jasny. — Lodowy mur mi mądrości zwycięsko przełamał Ten Złotoloki. A schronne dała mu poddasze Ojcowska dusza moja, chytryści pełna starej. Kto jest ten Ktoś, co posiadać zapragnął to dziecko,



Boskie dziecko, które wichr mocy mym statkom [daje —

One drżą, trzeszczą, cicho się chwiejąc u stropu, Te stare, wiszące, antykwaryczne rupiecie! —

Czemu na okręt mój tego chłopczyńkę wsadziłem, Miasto na czele mej całej flotyli potężnej

Jak Galeone z mocy potęgą tryumfalną

Na podbój nieb opuszczonych samemu się puścić? —

O! lód jest w mojej czasce i lód jest w moich żyłach!

Lecz taje on pod nagłym tchnieniem szczęścia,

Ty święty tchu! o nie rozpalaj w mych piersiach pustych Pożaru żądz i dzikich chuci iskry płomiennej.

Bym jak Saturn nie musiał jeść dzieci swych własnych.

Śpijcie! nad snem waszym czuwam i cicho schraniam

Was od złego. Jak obrazy przesuwacie mi się

Tak długo, jak długo dusza moja jest obrazem

Bez treści, zamglonym, sama w nocy niewidocznej

Butwiejcie rupiecie! nie wam się w nową rwać drogę.

(Podniósł śpiącą Pippę, podpira ją i powoli z ojcowską troskliwością prowadzi ją do izby na prawo. W chwili, kiedy z nią znika, wychodzi z poza pieca Huhn, staje w środku pokoju, gapiąc się na drzwi izby. Wann powraca, zamyka za sobą drzwi i mówi coś, nie widząc Huhna. Dopiero obróciwszy się w stronę modeli, spostrzega go. W pierwszej chwili nie wierząc w możliwość zjawiska, przysłania sobie dłonią oczy; potem ręka mu opada; każdy muszkuł się napręża; obaj mierzą się nienawistnym wzrokiem).

WANN (*powoli, drżąc*). Tu — niema — żadnej — drogi! —

HUHN (*tak samo*). Tu — nie pomoże — żadne — słowo, —

WANN. Zbliź się!

(Huhn napiera na niego, obaj stoją w pozycji zapaśniczej naprzeciw siebie).



HUHN. To jest wszystko moje! — wszystko moje —
wszystko moje, wszystko moje.

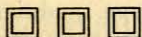
WANN.

Ty tłumoku morderczy! Nocnych bałwanie chuci.
Jeszcze przecież coś mamrotasz, co jak słowa
dźwięczy!

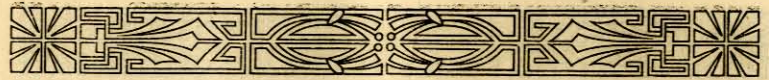
(Stary Huhn rzuca się na niego i obaj zaczynają walczyć; nagle Huhn wydaje przeraźliwy okrzyk i blady, bez tchu, zwiśa w ramionach Wanna. Ten pomaga rzućącemu Huhnowi cicho usunąć się na ziemię).

WANN!

Tak stać się musi, niezwyciężony potworze!
Chore, silne, dzikie zwierzę! — Do stajen wpadaj!
Łupu dla drapieżców nie skrywa zaśnieżona
Ta chata boża!



AKT IV.



AKT IV.

Przebieg akcji w bezpośrednim związku z aktem trzecim, w tym samym pokoju. STARY HUHŃ leży na ławce koło pieca, wydając ze siebie silne, straszne rżenie. Pierś odsłonięta, długie, czerwone włosy sięgają prawie ziemi. WANN stoi wyprostowany przy nim, lewą rękę położywszy mu na piersi. PIPPA staje w drzwiach po prawej stronie bojaźliwa, drżąc, z wyrazem wielkiej trwogi.

WANN. Wejdz tu, ty mały, drżący płomyku, ty! chodźno tu! teraz już niema dla ciebie niebezpieczeństwa, jeśli pod pewnym względem będziesz ostrożną!

PIPPA. Wiedziałam o tem! o, wiedziałam o tem i czułam, signore! — Trzymaj go, niech leży, mocno go zwiąż!

WANN. O ile związany, mogę go wiązać.

PIPPA. Czy to jest stary Huhn, czy to nie on?

WANN. Męka mu twarz zmieniła. Ale jeśli się mu dokładniej przypatrzysz..

PIPPA. On prawie tak, jak ty sam, wygląda!

WANN. Ja jestem człowiekiem, a on nim chce być: na jakiej podstawie to mówisz?

PIPPA. Non so, signore!

(W drzwiach od sieni ukazuje się przerażony Hellriegel)

HELLRIEGEL. Gdzie jest Pippa? przeczynałam, że ten zawszony dureń jest na naszych piętach! Pippa — Bogu dzięki, że jesteś znowu pod moją opieką!



WANN. Nikt tu, podczas twojej nieobecności, nawet włoska jej nie tknął!

HELLRIEGEL. Lepiej jednak, że ja tu już jestem!

WANN. Niebo tak chce! — Przynies mi tu wiaderko śniegu! Przynies śniegu! Położymy mu na dołek sercowy, żeby mu się to biedne schwywane, trzepocące się zwierzę w piersiach uspokoiło!

HELLRIEGEL. Czy on ranny?

WANN. I to być może!

HELLRIEGEL. Cóż nam z tego, jeśli on znowu do sił przyjdzie? Zacznie na wszystkie strony tłuc pięściami i pomorduje nas wszystkich.

WANN. Mnie nic! a wreszcie i nikogo, jeśli będziesz rozsądny.

PIPPA. On jest nim przecie! a więc to jest ten stary wydymacz szkła, Huhn!

WANN. Poznajesz go teraz? tego gościa, który tak późno nadszedł jeszcze, aby tu potężniejszego od siebie oczekiwać!? Przybliźno się, mała, nie bój się! twój prześladowca jest sam teraz prześladowany! —

(*Hellriegel wnosi wiaderko śniegu*) — Cóżes to na polu zobaczył, Michał, Michał, żeś blady jak chusta!

HELLRIEGEL. Nie wiedziałem! — (*Mówi kładąc lód*) — To wcale nie są te góry, które z tobą w szynku skakały i tańczyły, a z których szczęśliwie udało mi się ciebie uprowadzić.

PIPPA. Przypatrzo się dokładnie, to on przecie!

WANN. Tak, ale teraz stał się naszym bratem!

PIPPA. Co ci jest, Michaś? jak ty wyglądasz?

WANN. Cóżes to na polu zobaczył, żeś blady jak chusta?



HELLRIEGEL. No, widziałem prześliczne rzeczy!

Coś tak, jak się to mówi, w rodzaju ściany z wizyj kobiecych, kłapiących rybnymi paszczami, coś co wywołuje cudny wstręt! cudownie groźne. Nie chciałbym tego tu w pokoju mieć! — Tak to się dzieje, jeśli kto z jasności w ciemność włązi. —

WANN. Wkońcu jeszcze nauczysz się tu zgrozy.

HELLRIEGEL. W każdym razie do przyjemności nie należy, być teraz na dworze. Widocznie mają panie bóle szyi — widać to po drgających, ciemno-fioletowych nabrzmiąłych gardłach! — pocóżby więc były otulone grubymi chustkami szyjnymi, obramowanymi śliniastymi robakami!

WANN. Słusznie, Michał, ty oglądasz się za pomocą!

HELLRIEGEL. Żeby tylko te żartobliwe aniołeczki nie przedostały się przez ścianę!

WANN. Michaś, czy nie mógłbyś jeszcze raz wyjść na pole i w ciemność tak głośno wołać, żeby On przyszedł?

HELLRIEGEL. Nie! Za dużo mi już tego, nie pójdę!

WANN. Boisz się błysku, który ma zbawić? A więc przygotuj się w takim razie usłyszeć pochwałę Boga rykiem odrętwiającym wszystko, skoro inaczej nie można zapobiedz wtargnięciu trzody!

(Stary Huhn wydaje z siebie taki okropny okrzyk bólu, że Pippa i Hellriegel wybuchają jękiem współczucia i bezradnie opanowani, spieszą mu na pomoc.)

WANN. Tylko bez zbytniego pospiechu! nie wam nie pomoże! — Tu niema łaski! Tu spoczywa tak długo trujący żab i biało-rozżarzony wiatr, jak długo spoczywa! Tu tłoczą tyfonijskie moce prze-



rażliwy krzyk męki rozszalałego poznania bożego. Ślepo, bezlitośnie, gnębią go one, z ryczącej, ze strachu oniemiałej duszy.

HELLRIEGEL. A nie możesz mu co pomódz, stary?

WANN. Nie mogę bez tego, którego ty zawołać nie możesz.

PIPPA (*drżąc*). Czemu to on tak na tortury wyciągnięty? Bałam się go i niecierpiałam go! ale czemu on z taką wściekłością i bezlitosną nienawiścią jest prześladowany?... ja tego nie żądam!

HUHN. Co to? puście! puście! puście! nie wbijajcie mi kłów w ciało! puście! puście! nie łamcie mi kości w ręce! nie rozdzierajcie mi ciała! nie drzyjcie mię! nie rozdzierajcie mi duszy w kawały!

HELLRIEGEL. Do stu tysięcy piorunów! jeśli to ma być próba siły, jeśli ten rybio-krwisty olbrzym myśli mi zaimponować... to tak czy tak, nic mi nie imponuje! najwyżej z przymusu! — Czy on niema zupełnie respektu przed swoją twórczością, albo czy on niczego nie umie? że wszystkie chwile krótko i głupio zabija? w dodatku z tą ciekawą manią, która ze wszystkiego jest mu prawdopodobnie jedynym zartem!

WANN. Najważniejszemby tu właściwie Michał było, żeby jeden z nas poszedł i zobaczył, gdzie jest ten, którego tęskliwie oczekujemy. Bo twoja gadanina wreszcie niczego nam nie przyniesie.

HELLRIEGEL. Wyjdź ty! ja tu zostanę.

WANN. Dobrze! — (*Do Pippy*) — Ale nie tańczcie przypadkowo z nim!

HELLRIEGEL. O nieba! jeśli kto w takim niezno-



śnem położeniu na dowcip się jeszcze sili, to cóż można tu powiedzieć jeszcze, na to nieszczęście?!
WANN. Patrz komu wierzyć! — w każdym razie uważaj na dziecko!

(Oddała się przez sień).

PIPPA. Ach, Michaś, żebyśmy już stąd poszli!

HELLRIEGEL. I ja bym sobie tego życzył! Bogu dzięki, żeśmy przynajmniej na szczybie! Możemy jutro, z brzaskiem — jeśli chcesz na saneczkach; to wcale dobrze! — spuścić się po południowym zboczu. Potem już na zawsze wyniesiemy się z tej okolicy łyskających się kul i mrujących pawianów!

PIPPA. Ach, żeby on tylko nie zechciał znowu krzyczeć!

HELLRIEGEL. Pozwól mu krzyczeć! zawsze tu jest lepiej: cisza tam na polu krzyczy jeszcze straszliwiej.

HUHN (*z trudem*). Mordercy! mordercy!

PIPPA. Znowu przemówił! — Myślę, że ten stary handlarz zabawek zrobił mu jakąś przykrość!

HELLRIEGEL. Chodź tu! przyciśnij się mocno do mojego serca!

PIPPA. O, Michaś, ty taki spokojny, a ono tak dziko bije!

HELLRIEGEL. Jak twoje!

PIPPA. I jego! — słyszę także bicie i jego serca! — jak ono potężnie pracuje! — jak się straszliwie trzodzi!

HELLRIEGEL. Tak? czy to rzeczywiście serce, co tak bije?

PIPPA. A cóżby innego? przysłuchaj się, cóżby to



— tak biło?! Nie wiem, tak mię coś boleśnie ciągle wstrząsa... rwie mię ustawicznie, aż w kończynach palców — przy każdorazowym uderzeniu, jakbym z nim razem czuła.

HELLRIEGEL. Popatrznio, kanibalska paka piersiowa! nie wygląda on tak, jak miech pokryty czerwonymi kudłami? i tak, jakby musiał ciągle coś, jak ogienek w kuźni rozdmuchiwać.

PIPPA. O, jak mu to biedne, złapane ptaszę ciągle, trwożliwie aż na zebra skacze! — Michaś, gdybym mu tak rękę moją położyła?

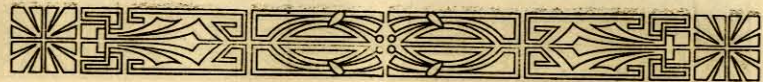
HELLRIEGEL. Za mojem pozwoleniem! nic nie może być na całym świecie, coby miało tak cudowny skutek.

PIPPA (*kładzie Huhnowi rękę na sercu*). Nie wiedziałam zupełnie, że stary Huhn pod swojemi szmatami, biały jest, jak panienka!

HELLRIEGEL. Widzisz, działa! już jest spokojniejszy! — A teraz dajmy mu jeszcze trochę wina, żeby mógł potem błogo zasnąć.

(Idzie do stołu, aby nalać wina, Pippa pozostawia dłoń na piersiach Huhna).

HUHN. Kto mi swoją rączkę na piersi kładzie? — Siedziałem sobie w środku — w ciemności — siedzieliśmy w ciemności! świat był zimny! nie było już dnia, i nie było już poranku! wtedy siedzieliśmy wokół zimnego pieca hutniczego! — i wtedy przyszli ludzie, ju, ju... wtedy zdaleka, przez śnieg przedarli się ludzie! przyszli więc bliżej, bo byli głodni: chcieli odrobinę światła na język! odrobinę ciepła w zamrznięte swoje kości wchłonąć chcieli.



— Tak więc jest! — i wtedy w nocy naokoło huty leżeli! — słyszeliśmy ich kwilenie. I wtedy wstaliśmy i rozrzucili popielnik — i nagle wyblysnęła jeszcze jedna iskra... iskierka wyblysła z popiołu! — o Jees, cóżem miał począć z tą iskierką, która nagle z popiołu wyblysła? — czyż mam cię połknąć, iskierko? — czy może cię pochwycić? czyż gonić cię może, iskierko? — albo też może mam tańczyć z tobą iskierko mała?

HELLRIEGEL. Powiedz, powiedz, nie sprzeciwiaj się mi! — Ty, powiedzno, jak to dalej idzie! — Masz tu, napij się przedtem odrobinę, stary Urianie! — Dzisiaj mnie, jutro tobie! trzymajmy razem, bo i ja w najtajniejszej serca głębi, także taki zaśnieżony, widmowy hutnik jestem.

HUHN (*po napiciu się*). Krew! czarna krew smakuje bardzo! ale to, co oczyszczacz robi, to robię i ja także! ja robię także szkiełeczka! o joj, czego ja już wszystkiego nie wydostałem z pieca! Perły! drogie kamienie! olbrzymie puhary! — za każdym razem coś nowego z dmuchawki! — Pozwól, zatańczę z tobą, mała iskierko! czekajno: zapalę w jednym piecu! o, jak żar z otworów bucha! nikt starymu Huhnowi nie dorówna! czy widzieliście kogo ktoby tak w rozżarzonem powietrzu tańczył?

HELLRIEGEL. Kogo masz na myśli?

HUHN. Kogo? Kogoby? to on jeszcze nie wie, że ta ta dziewczyna z pieca się zrodziła!

HELLRIEGEL (*parskając śmiechem*). Słuchajno, Pippa, ty z pieca powstałaś!

PIPPA. Ach, Michaś, płakać mi się chce.



HUHN. Tańcz, tańcz! niech się choć trochę rozjaśni! krąż tu i tam, na zesłanie światła ludziom! zapalaj! trzeba nam iść do roboty!

HELLRIEGEL. Słuchaj! w takim razie i ja bym rzeczywiście razem wziął się do pracy! Do dyabła! i żeby chociaż kawałek współtowarzysza...

HUHN. Staliśmy w naszym piecu hutniczym a wo-koło, wskroś bezgwiezdnej nocy czołgał się strach! — (*Charczy głośniej*). — Myszy, psy, zwierzęta i ptaki wdzierały się w ogień, a ten stawał się mniejszy i mniejszy i już chciał zagasnąć! wpatrywaliśmy się ciągle i ciągle — o Jezu, strach! w ten ogień! — Nagle zapadło się! krzyknęliśmy wtedy! i znowu niebieskie światelko powstało! a potem zgasło! — Siedziałem sobie nad moim ogniem zimnym! niczego nie widziałem! grzebałem w popiele! I znowu iskra wyleciała, jedna, jedyna iskierka, przede mną. Chcemy więc znowu tańczyć mała iskierko?

PIPPA. (*trwożnie do Michała*). Jesteś tu jeszcze, Michaś?

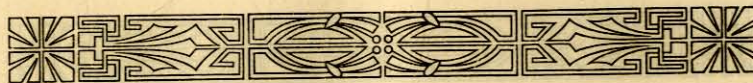
HELLRIEGEL. No naturalnie! czy myślisz, że Michał jest gdzie może jakim łązęgą?! Ale ten stary, Bóg go wie, jest czemś więcej, jak wykolejonym hutnikiem! Popatrzno, jaki krwawy i pełen męki skurcz jest w rysach jego!

PIPPA. A jak serce się jego łamie, jak ono się tłuczel!

HELLRIEGEL. Jak wieczny, kuźniczy taniec, kowalskiego młota.

PIPPA. A za każdym uderzeniem jego, coś tłucze i pali mi się w moich piersiach!

HELLRIEGEL. Mnie także! przelatuje mię coś z siłą



po kościach, drze mię, jakbym musiał współdziałać i współboleć!

PIPPA. Słuchaj, Michaś! zdaje się, że tak samo tłucze się coś głęboko pod nami i puka w podłogę.

HELLRIEGEL. Głęboko pod nami, tak, te same straszne kuźnicze uderzenia!

HUHN. Czy mam z tobą tańczyć, mały duchu?

(Podziemny, podobny do burzy turkot).

PIPPA. Michaś, słyszałeś ten podziemny turkot?

HELLRIEGEL. Nie! chodź! najlepiej będzie jeśli odejmiesz rękę od jego piersi! Jeśli się wszystko chwieje, a ziemia drży, my zaś gdzieś w wszechświat, jak bezwolny meteor lecimy, to lepiej jest przecie, jeśli się w nierozłączny kłębek spoimy. — Ja tylko zartuję!

PIPPA. Ach, Michał, nie zartuj teraz!

HELLRIEGEL. Jutro będziemy oboje z tego kpili!

PIPPA. Wiesz, jest mi teraz tak, jakbym była ostatnią jeszcze iskierką zgubioną. błądzącą samotnie w nieskończonej przestrzeni!

HELLRIEGEL. Tańcząca gwiazdka na niebie, Pippa! czemużby nie!

PIPPA (*szepcąc*). Michaś, Michaś! tańcz ze mną! Michaś, trzymaj mię, ja nie chcę tańczyć! Michaś, Michaś! tańcz ze mną!

HELLRIEGEL. Dalibóg chcę to zrobić, wprzód jednak, żebyśmy się tylko z tej matni wydostali! — Pomyśl sobie coś wspaniałego! Niczem ta noc przejdzie, postanowię — czy masz już potem tylko po różach i dywanach stąpać. Potem śmiać się będziemy, jeśli już na dole będziemy, w zameczku wo-



dnym... zejdziemy tam, upewniam cię.. a potem, położę cię na twoje łóżeczko jedwabne.. a potem znoś ci ciągle będę sukienki.. a potem okryję cię i raz jeszcze opowiem ci te straszne bajeczki.. a potem raz jeszcze na całe się gardziółko zaśmiesz, tak słodko, że dźwięk twój aż boleść mi sprawi. A potem zaśniesz! a ja grać będę całą noc, cicho, cicho, na szklanej harfie..

PIPPA. Michaś!

HELLRIEGEL. Co, Pippo.

PIPPA. Gdzie jesteś?

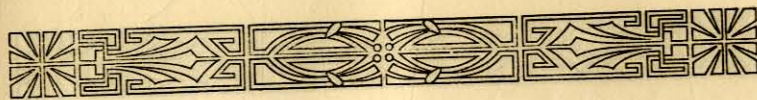
HELLRIEGEL. Tu przy Tobie! trzymam cię, silnie cię objąwszy!

HUHN. Czy chcemy znowu tańczyć, mały duchu?—

PIPPA. Michaś, trzymaj mię.. nie puszczaj mię!

On mię porywa!... porywa mię! — inaczej będę musiała tańczyć! — inaczej umrę! — puść mię!

HELLRIEGEL. Tak!? Teraz myślę, będzie najlepiej opamiętać się i w tych rzeczywiście po części niedorzecznych rzeczach, zachować swoją starą, dzielną, krew szwabską! — Jeśli kogoś po wszystkich członkach drze, to takiemu starymu zarłokowi, który do tego wartość przywiązuje, czemuż powrotnego tańca nie zatańczyć? To nie może być złem, według mego zapatrywania. — Nie na darmo byli weseli bracia, którzy Szatanowi piekielny ogień pod ogon zgarnęli i zapalali nim w ten sposób fajkę. Czemużby nie można mu do tańca zagrać?! (*Wyjmuje okarynę*). Rumpumpum, rumpumpum! — jaki to takt?—Tak, tak, przeze mnie idź do tańca, słodka Pippo. Jeśli się raz musi.. nie



należy na tej ziemi przebierać w czasie i miejscach (*Tryler i gama na okarynie*). — Tańcz więc i wytańcz się! Najgorsze długo nie przyjdzie: wesołym być, ze smutkiem aż do śmierci!

(Pippa w takt tonów okaryny Michała, robi bolesne zgięcia taneczne, które mają w sobie coś konwulsyjnego. Stopniowo taniec staje się bardziej dziki, bakchiczny. Rytmiczne drgawki podrzują ciałem starego Huhna; przyczem zaciekle bije nogami w takt tańca Pippy. Równocześnie zdaje się, jakby go straszliwy mróz wstrząsał, jak tego, który z okropnego zimna w ciepłą izbę wszedł. Z głębi ziemi wydobywają się stłumione szmery: grzmoty, dźwięki tryangułu, cymbałów i uderzenia w bęben. W drzwiach od sieni ukazuje się wreszcie Wann).

HUHN. Ja robię także szkielka! ja robię je.. (*z osłupiałym, dzikim wzrokiem na Wannę*) robię je i w kawałki znowu trzaskam! — chodź — ze mną — w ciemność — mała iskiérko— (*Rozgniała szklankę, którą jeszcze w rękach trzyma; skorupy dźwięczą*).

(Pippę to wstrząsa i nagle ogarnia ją odrętwienie).

PIPPA. Michaś!

(Chwieje się, Wann chwytą ją ramiona. — Umarła).

WANN. Postawiłeś na swoim, stary Korybancie?!

HELLRIEGEL (*przerywa na chwilę grę na okarynie*)

Dobrze! wypocznij sobie chwileczkę, Pippo!

HUHN *wlepia się kurczowo, z zwycięskim tryumfem, w oczy Wannę. Potem po ustach jego przebiega uciążliwy, ale potężny krzyk* — Jumalaii — (*Nagle opada napowrót i umiera*).

HELLRIEGEL (*właśnie chciał grać na nowo*). Cóż to? prawda! słyszałem wczoraj także ten okrzyk!— Cóż ty na to, stary czarodzieju? Swoją drogą dobrze,



żeś przyszedł! — w przeciwnym razie galopowalibyśmy dalej, niewiedzieć gdzie, w dal nieznaną przez noże i skorupy! Czy odnalazłeś go wreszcie?

WANN. Istotnie!

HELLRIEGEL (*tryler na okarynie*). Gdzieś go więc znalazł?

WANN. Za zwałem śnieżnym znalazłem go. Był zmęczony. Mówił, że dźwiga za wielki ciężar pracy. Musiałem go długo przekonywać. (*Patrzac na Pippę*) A teraz widzi mi się, że mię nie zrozumiał!

HELLRIEGEL (*tryler na okarynie*). A czy przynajmniej przyjdzie?

WANN. Nie widziałeś go? tuż przedemną przecież weszedł!

HELLRIEGEL. Wprawdzie niczego nie widziałem, ale czułem coś, w tej chwili właśnie, kiedy stary ten głupi, nieznanym okrzykiem wydał, coś, co jeszcze teraz w kościach mi chrzuci.

WANN. Czy słyszysz na dworze, tłukące się jeszcze echo?

HELLRIEGEL (*zbliża się z ciekawością do Huhna*). Słusznie! to stare kopyto końskie już nie tupie. Muszę się przyznać, że spadł mi kamień z serca, że przecież w końcu ten stary hipopotam najzupełniej jest bezpiecznym. — Powiedz, ty prawdopodobnie stos pacierzowy mu przetrąciłeś? Wprawdzie nie było to może i koniecznym, chociaż to w możliwy sposób nas uratowało.

WANN. Tak, Michał, jeśli jesteś uratowanym, to można to było ciężiej w inny sposób skutecznić.

HELLRIEGEL. Bogu dzięki, tak, czuję, wyłabudali-



my się. Przeto nie chcę już dalej udawać świętoszka, ponieważ stary — dawno już przecież wyszedł z młodzieńczych wybryków! — ponieważ stary, w swoich popędach jest inny i co ja posiadam, on posiadać nie może. Każdy dla siebie a Bóg dla wszystkich! cóż mi to zresztą obchodzi — Pippa! Co to ma znaczyć, że ty dwa światełka masz na prawem i lewem ramieniu?

WANN (*Pippę trzymając w ramionach*). Ecce deus, fortior me, qui venies dominabitur mihi!

HELLRIEGEL. Ja tego nie rozumiem!

(Z głową spuszczoną na dół stoi kilka sekund patrząc na zwisającą w ramionach Wanna, Pippę)

Ach, teraz znowu tak coś drze mię w piersiach! teraz znowu, wstrząsa mię znowu tak coś niecierpliwie! tak słodko boleśnie, jak gdybym musiał na tem miejscu być i miliony zarazem lat stąd dalej — A wokoło mnie wszystko różowo-czerwone! — (*Gra, przerywa sobie i mówi*). Tańcz, dziecię! Radość! Ciesz się, bo z pomocą wiecznego światła w moich piersiach, znaleźliśmy drogę w tym nocnym labiryncie; — i jeśli już się wyskakała i upewniłaś się w swoim szczęściu, to wyruszajmy stąd natychmiast — (*Do Wanna*) — za twojem pozwoleniem ponad śnieg jasny, jak ekstrapocztą, w otchłań wiosenną, tam na dole.

WANN. Tak. Jeśli widzisz tę wiosenną otchłań, dzielny Michale: pewnie!

HELLRIEGEL (*z ruchami ślepego, który tylko w głębi patrzy, przy ciemnym oknie*). Ho, widzę ją dobrze, tę otchłań wiosenną! przecież nie jestem ślepy!



dziecko by ją zobaczyło! Z twojej chaty, ty odwieczny oberzysto, widać przecie, kraj cały... przeszło pięćdziesiąt mil daleko! Przecież nie siedzę absolutnie już jak duch jaki, wewnątrz flaszki i nie leżę zakorkowany na dnie morza. To tylko raz tak było — daj nam więc jeszcze klucz złoty i pozwól odjechać!

WANN. Jeśli zima nagle zablęśnie, można łatwo oślepnąć!

HELLRIEGEL. Albo dostaje się wszystko widzący wzrok — trudnoby uwierzyć, w śnie będąc: tak tajemniczo nęci mię biały, w świetle poranku błyszczący czar gór i drażniąca woń półwysep, zarosli i ogrodów, tam, w głębi, a co ty mówisz! jest się jak na innej gwieździe!

WANN. Tak się to dzieje, jeśli góry skąpane są w grze ognia eliaszowego, wielkiego Pana.

HELLRIEGEL. Pippa!

WANN. Ona jest właśnie znowu daleko od nas na swojej własnej wędrówce! A on, ten stary, bezradny olbrzym znowu za nią! (*Układa Pippę na ławce. Potem woła*): Jonatan! — Znowu niewidzialna dłoń która przez mury i dachy sięga, moje plany pokrzyżowała, na łup sobie. — Jonatan! — On już zimny! żarzący się krater wygasł. Na co poluje strzelec? chyba nie na zwierzę, które zabił! Na co? któż mi na to dać może odpowiedź?

HELLRIEGEL (*przy czarnem oknie*). Pippa popatrzno na dół, cyple pokryte są złotymi kopułami... i widzisz: tam jest nasz wodny pałac — i złote schody, które na górę prowadzą!



WANN. To ciesz się. Ciesz z tego, co widzisz i z tego, Michał co przed tobą jest zakryte!

HELLRIEGEL. Morze! — o, jeszcze jedno, wyotchnia się u góry: górne morze dolnemu oddaje miliony drżących gwiazdeczek! o Pippa... patrz, jeszcze się trzecie niebo rozwiera! nieskończone łyskanie i zanurzanie się światła w światło! a my płyniemy z oceanu na ocean, na naszym szumiącym złotym galarze?

WANN. To w takim razie nie potrzebujesz już pewnie mojego okręcika! — Otwórz okiennice, Jonatan!

(Jonatan, który zaglądał, otwiera drzwi; słaby pierwszy brzask wpada do sieni)

HELLRIEGEL. Pippa!

WANN. Tu jest, obejmijcie się! (*Przystąpił do Michała, który stoi z wyrazem ślepego zapatrzenia, czyni tak jakby, Pippa obok niego stała, kładąc rękę jego w jej dłoń*) Tak! Zaślubiam was! zaślubiam ciebie z cieniem! ten, który jest z cieniem zaślubiony, zaślubia ciebie z nim!

HELLRIEGEL. Nic złego, Pippo, ty jesteś cieniem!

WANN. Idź, idź z nim w cały świat... do waszego pałacu wodnego, chciałem powiedzieć! — pocóż masz tu klucz! Wstępu nie może ci już więcej ten okrutnik wzbraniać! a na dworze czekają już sanki z dwoma przygiętymi rogami...

HELLRIEGEL (*z wielkimi łzami na twarzy*): A tam będę musiał wodę w kule wytaczać!

WANN. Zrobisz to już twojemi oczami! — Tak! teraz idź! a nie zapominaj swojej okaryny!



HELLRIEGEL. O nie! mojej małej, słodkiej, zaufanej żonki nie zapomnę!

WANN. Bo może w końcu przyjść do tego, że będziesz zmuszonym gdziekolwiek pod drzwiami grać ludziom i śpiewać. Ale przez to nie trać fantazyi. Najpierw masz kluczyk do pałacu, a jeśli zciemnieje ta pochodnia, którą ma nieść Pippa przed tobą; przyjdiesz najpewniej tam, gdzie spokój i szczęście cię czekają. Śpiewaj i graj tylko dzielnie! tylko nie wątpij.

HELLRIEGEL. Juchhe! śpiewam pieśń ślepców!

WANN. Jak ty to rozumiesz?

HELLRIEGEL. Pieśń śpiewam o ślepych ludziach, którzy wielkich wielkich, złotych schodów nie widzą!

WANN. I tak coraz wyżej pnieś się tą Scala d'Oro, tą Scala de Giganti!

HELLRIEGEL. I pieśń śpiewam o gołębiach!

WANN. Które nie słyszą płynięcia strumienia wszechświata!

HELLRIEGEL. Tak!

WANN. Tylko rób to! ale, Michał, jeśli ich to nie wzruszy i jeśli ci ostremi słowami grozić będą lub obrzucać kamieniami, co także często się zdarza, wtedy odpowiedz im, jak bogatym jesteś.. księciem w podróży, ze swoją księżniczką! Odpowiedz im o twoim wodnym pałacu i błagaj ich, aby wam, na miłość Boga, kamień wskaźniczy dalej na drodze położyli!

HELLRIEGEL (*chichocząc*). A Pippa ma tańczyć!

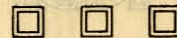
WANN. A Pippa tańczy!



(Zupełnie już jasno. Wann daje ślepeму i bezradnemu Michałowi kij w rękę, nasadza mu kapelusze i prowadzi macającego, ale cicho i szczęśliwie uśmiechającego się do drzwi. Michał przykłada okarynę do ust i gra rozdierająco-smutno! W sieni ubiera Jonatan ślepego, Wann wraca napowrót. Wsłuchuje się w coraz dalej milknącą melodyę okaryny, bierze ze stołu małą gondolę, ogląda ją i mówi z boleśną rezygnacją w głosie):

Mknij, mknij, ty mały cud-okręciku!

KONIEC.



127 842
21. V. 1611.

15-



(Napełnie już jasno. Wann daje śpiewać i bezstronnie
Michałowi kł) w ręce, nieszczęsny mi kochanku i przywodzi mi-
czepięgo, ale cicho i szepcąc, widać, że się do drzwi
Michał przysiadł, okazywał do ust i gwałtownie zamykał
W tym miejscu, domaća śpiewa, Wann widać napowide
Wskazuje się w coraz dalszej miłości, melodyjnie okazywa
pierzwo to stani miły kochanie, przy i mówi z boleśnią
rozrywając w głosie:
Miał, niekiedy, ty miły, sub-orky-kulki

KOMEC

